Nr. 6. Lwów, Niedziela dnia 7. Października 1877 r. **Tom VI.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

NA ZAMKNIĘCIE WYSTAWY KRAJOWEJ.

Wesoły gwar, panujący teraz na placu wystawy krajowej, umilknie niezadługo. W niedzielę, dnia 7go bm. o godzinie 2ej z południa nastąpi uroczyste zamknięcie jej. Zamiast melodyi muzyki, przegrywającej teraz codziennie snującym się po ścieżkach i pawilonach gościom wystawowym, będzie się tam rozlegał przez jakiś czas tylko stuk młotów przy zabijaniu skrzyń i łomot rozrywanych ścian budynków wystawowych; ciężko ładowne wozy uprzątną wszystkie te piękne rzeczy, jakie teraz nagromadzone są w ogrodzie Jabłonowskich, setki robotników będą pracowały nad zniszczeniem śladów wystawy — i nie minie parę tygodni, gdy plac wystawy, uprzątnięty i zarównany, oddany zostanie panu komendantowi koszar Jabłonowskich do zwyczajnego użytku jako plac musztry dla żołnierzy.

Sic transit gloria mundi — powie nie jeden, patrząc na szybko postępujące dzieło uprzątania wystawy. Jakkolwiek jednak musimy pożegnać się z świetnym widokiem, jaki przedstawia nasza wystawa tegoroczna, jakkolwiek rozstać się musimy z miłymi gośćmi, którzy ze wszystkich okolic polskiej ziemi gromadzą się we Lwowie z powodu wystawy, to jednak moralne skutki wystawy nie ustaną z dniem jej zamknięcia.

Zdaje się, że tegoroczna wystawa rolnicza i przemysłowa we Lwowie rozbudzić w nas powinna więcej zaufania we własne siły, niż dotychczas objawialiśmy. Ku naszemu własnemu zdziwieniu wystawa udała się pod każdym względem tak świetnie, tak żywy ruch umysłów rozbudziła we wszystkich warstwach ludności, interesujących się materyalnymi interesami kraju, że nie można o tem wątpić, iż stanie się ona punktem wyjścia dla nowego okresu w dziejach ekonomicznego rozwoju społeczności naszej.

Myśleliśmy, że gospodarstwo rolne i hodowla wszelkiego rodzaju inwentarza żywego w ogólności stoi w naszym kraju na bardzo niskiej stopie w porównaniu z zachodnimi krajami sąsiednimi. Tymczasem specyalne wystawy chowu koni, bydła rogatego, drobnego inwentarza, nasion, roślin okopowych, owoców, ogrodowin, mleczarstwa, pszczelnictwa i roślin przemysłowych przekonały nas, iż nie brak u nas myślących i postępowych gospodarzy, śledzących pilnie wszelkie udoskonalenia na tem polu osiągnięte, i zastosowujących je u siebie konsekwentnie i wytrwale, ze skutkiem pomyślnym. Przykład ich powodzenia może zachęci coraz liczniejsze koła rolników naszych do większej przedsiębiorczości w dążeniach do udoskonalenia systemu gospodarowania.

Wystawa okazów leśnictwa jest prawdziwie imponująca. Świadczy ona bowiem nietylko o znakomitem bogactwie naszego kraju pod względem materyału drzewnego, lecz dowodzi także, że posiadamy wiele wzorowo urządzonych gospodarstw leśnych, i że wogóle objawia się u nas dążność do coraz racyonalniejszego zużytkowywania lasu.

Dzięki staraniom Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego wystąpił przemysł domowy włościan po raz pierwszy przed sąd ogółu w bardzo bogatym zbiorze. Ilość i rozmaitość tych wyrobów poucza, jak rozległe pole pracy przemysłowej milionowych mas ludu wiejskiego pozostawało u nas dotychczas w zaniedbaniu. Znakomite postępy, jakie wywolują w przemyśle włościan młodziutkie nasze rękodzielnicze szkoły fachowe, wymowne znów dają o tem świadectwo, o ile podnieść można wartość domowych wyrobów włościańskich w bardzo krótkim czasie, i bardzo niewielkim nakładem pieniężnym — tylko przez zaprowadzenie szkółek fachowych.

Przemysł nasz jest dotychczas mało rozwinięty, to prawda. Wystawa przekonała nas jednak, że i u nas mogą udawać się fabryki, jeźli są oględnie i roztropnie kierowane, że na wszystkich polach przemysłowej pracy poczyniliśmy piękne początki, że niektóre gałęzie rękodzieł wykształciły się u nas do znakomitej doskonałości. W ogólności nauczyła nas wystawa, że o przemyśle naszym mieliśmy sami gorsze wyobrażenie, niż on na to zasługuje; widzieliśmy wszędzie budzący się ruch na tem polu, energiczną dążność do postępu, która łamie zwycięsko te rozliczne przeszkody, z jakiemi u nas ma do walczenia każde przedsiębiorstwo przemysłowe.

Nader bogata wystawa pedagogiczna chlubnie świadczy o tem, że pod tchnieniem nowego systemu organizacyi szkół — systemu opartego na uwzględnieniu języka i charakteru naszego narodowego ogarnął nauczycielstwo nasze nader zbawienny ruch umysłów: zewsząd wygląda samodzielna dążność kierowników rozmaitych zakładów naukowych do podniesienia ich pod względem pedagogicznym i dydaktycznym.

Ślicznie, gustownie urządzony pawilon pracy kobiet zachwycić musiał każdego, kto posiada zmysł do ocenienia wartości nagromadzonych tam arcydziełek pracowitości, zmyślności i delikatnego smaku.

Żegnamy się dziś z widokiem tych wszystkich skarbów. Jak z dziwnie błogiem uczuciem każdy z nas oglądał je po raz pierwszy, i jak zachwycając się wspaniałym widokiem ogólnym wystawy rozpierało nam pierś miłe poczucie, że to jest nasze, wszystko nasze, tak dziś wszyscy w ostatnich chwilach trwania naszej wystawy spieszymy nalubować się jeszcze widokiem jej z pewnym rodzajem niby rozrzewnienia, jak zwykle, gdy nadejdzie chwila rozstania się z czemś, co sercu miłe, a wiemy, że po raz ostatni to widzimy.

Żegnając zaś wystawę, nie możemy się wstrzymać, ażeby nie wypowiedzieć życzenia, iżby ta nauka, jaką z niej zaczerpnąć mieliśmy sposobność, jak najgłębiej zapuściła korzenie w umysłach naszych, i oby bogaty plon wydała dla dobra i szczęścia kraju. Pamięć świetnej wystawy naszej niechaj wzmacnia w nas ufność we własne siły, szacunek dla nas samych, niechaj nas uczy pokonywać tę nędzę, w jaką nas pogrążyły po części nieszczęścia narodowe, a po części, prawdę mówiąc, także i własna nasza niezdarność.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Ja cię nie znam, — rzekł podparłszy się na łokciu Jaksa, po długiej chwili milczenia, — ale wiem żeś lichwiarz, spekulant i dusigrosz.

— Kasztelanicu, to potwarze....

— Daj pokój, dosyć na ciebie spojrzeć, masz tu na czole wypisane. Pij wino!

Repeszce tokaj smakował, ale naleganie napełniało go obawą, do czego to zmierzało.

— Pij wino! nie rychło się z podobnem spotkasz... ażebyś zaś strachu daremnego nie miał, powiem ci od razu, pocom cię sprowadził.

Repeszko, który był już kieliszek ujął, postawił go zwolna.

— Słuchaj, życie mi tu obrzydło! — zawołał Jaksa. — Ja ludzi nienawidzę tu, oni mnie nie cierpią. Odłączony, samotny, zabijam się myślami; nie mam czem żyć, bo mi brak celu, nadziei jutra... Chcę pójść gdzieś w świat, daleko... Zostało mi z dawnej zamożności ot to gniazdo, które burza rozbiła; trzymam się w niem długo, myślałem, że tu umrę i że trumnę moję wrzucą do pustej kaplicy ostatnią. Ale już mi wyżyć ciężko, muszę to raz skończyć. Nie doczekam, czego czekałem. Sprzedam ci zamek cały, jak go widzisz, dwór, ogród, grunta... Kupuj!...

Repeszko, słuchając usta otworzył. Propozycya była tak w swoim rodzaju dziwna, niespodziewana, osobliwsza, iż z razu nie umiał na nią wcale odpowiedzieć.

Upłynęła długa chwila milczenia.

— Ale szanowny kasztelanicu, — odezwał się rozważywszy nieco, o co szło, pan Repeszko, — chciej z łaski swej, nie obrażając się, pomiarkować, na co się mnie to zdało?

— Jakto? zamek taki przepyszny?...

— Ale choćby w istocie najwspanialszy, cóż ja z nim robić będę? Od studzienicy ogromny kawał... ni przypiął ni przyłatał. Toż naturalnym nabywcą powinien być albo dziedzic teraźniejszy Rabsztyniec...

Jaksa ramionami ruszył i splunął.

— No... albo Spytkowie, którymby to fundum mogło z biedy do Mielsztyniec...

Począł to mówić Repeszko w najniewinniejszej myśli, nie przewidując wcale iż samo imię Spytka zrobi na Jaksie wrażenie tak okropne, tak niespodziane, iż nie dokończywszy p. Nikodem struchlały zamilkł.

W istocie dosyć było wzmianki o Spytkach, by spokojnego dotąd kasztelanica zmienić niemal w obłąkanego. Porwał się od stołu, bijąc oń pięścią z całej siły; zaiskrzyły mu się oczy, pofałdowało czoło, zapieniły usta. Odepchnął krzesło, które z hałasem padło na posadzkę i począł przechadzać się żywymi krokami po salce. Mówił sam do siebie, zdawał się nie widzieć Repeszki, który za stół się tulił, patrzył i trząsł się ze strachu, myśląc co mu się stało.

— Spytkowie! tak! i to niech wezmą oni, i popioły dziadów i mojemi łzami krwawemi oblaną ziemię, wszystko... wszystko!.. Wzięli mi, com miał najdroższego, wezmą i to, im się to należy... Przeznaczenie! wydarli mi serce!... powinni nawet trupa pochować pod swoim progiem, aby go gnieść nogami... Znasz waszmość Spytków? znasz?

— Ale nie, Bóg widzi! nie znam, nie wiem... przypadkiem... klnę się na rany Chrystusowe...

Iwo stanął nagle.

— Tak, usta twoje nie wiedziały, że wyrok na mnie wyrzekły... Gdybyś ty kupił, tożbyś frymarczył potem by zyskać, i zamek mój im by się dostał. Wyrestaurowaliby go i mieszkali... Nie może być inaczej...

Niezrozumiałego coś pomruczał, potem zamilkł nagle, podniósł głowę i popatrzywszy na Repeszkę, krzyknął groźno:

— Zkąd wracałeś, gdym cię spotkał?

Pan Nikodem się zająknął.

— Ano... z Mielsztyniec...

— Tfu! głupi, powinienem był to zgadnąć po safianowych butach i atłasowym żupanie... Coś tam robił? mów mi prawdę! po co tam jeździłeś?

— Ależ, panie kasztelanicu dobrodzieju — bełkotał Repeszko — ja ich nie znam... wysokie progi na moje nogi. Mam spór graniczny o łąkę; pojechałem, chcąc go załatwić sam, zgodnie, ale cóż... odprawili mnie z kwitkiem, nicem nie wskórał...

— Byłeś dziś! począł zamyślony kasztelanic... dziś... Mów, kogo tam spotkałeś... kogoś widział?

Repeszko, nieco ochłonąwszy, począł z jak największymi szczegółami opowiadać bytność swoję w Mielsztyńcach, jak go wprowadzono, co widział, a nareszcie kogo wychodząc spotkał. Iwo słuchał z nadzwyczajną uwagą, a gdy przyszło do ostatka, twarz jego nabierać zaczęła coraz straszniejszego wyrazu, oczy płonęły — rozśmiał się dziko i rzucił tylko pytanie:

— Prawda? piękna pani, śliczna pani! i wygląda dziwnie młodo i śmieje się tak wesoło... jakby nigdy w życiu nikogo nie zabiła...

Wyrazy te, które mu się mimowolnie wymknęły, chwycił Repeszko chciwie, zadrżał i nie mógł się wstrzymać od wykrzyku:

— Jakto? zabiła?

Ale kasztelanic już był panem siebie; posępne wejrzenie zwrócił na pytającego.

— Któż ci to powiedział? gdzieś to słyszał? Milcz! słyszysz! milcz! lub... Jam tego nie powiedział, to fałsz!... Zapomnij o tem..... to szaleństwo moje.... a jeśli odważysz się kiedy...

Kasztelanic kielich, który trzymał w ręku zgniótł na miazgę, rzucił okruchy na stoł i spojrzał milcząco na Repeszkę, który drżąc jak liść, ust już nie śmiał otworzyć. Potem nalał sobie wina szklankę, wychylił duszkiem i rzekł:

— Kupujesz, czy nie? Pokażę ci co mam na sprzedaż, chodź... Sprzedam tanio, z warunkiem tylko, by nigdy odsprzedanem nie było do Mielsztyniec. Weźmiesz, za co zechcesz.

— Ale ja... ja nie jestem kupcem...

— Obejrzno — zawołał kasztelanic — potem powiesz. Dam za bezcen, bo muszę ztąd uciec... muszę! Jużem się dosyć namęczył, a nie doczekam niczego...

To mówiąc, Iwo otworzył drzwi.

— Chodź! rzekł.

Nie z wielką ochotą poszedł za swym przewodnikiem Repeszko, ale go podtrzymywała nadzieja, że się wprost później do swojego wózka dostanie i uciec będzie mógł do domu, czego najmocniej pragnął. Obawa jego rosła, a chmurniejsze coraz oblicze kasztelanica nic miłego nie wróżyło. Przez gąszcze wydobyli się na podwórzec, którego obszerność Iwo naprzód okazał Repeszce. Oprócz mieszkalnego skrzydła zamku, które jakby odłamane od całości, stało na gruzach zalegających wszędzie kupami dziedziniec, nic tu nie pozostało z dawnych budowli. Iwo zapewnił tylko, że zachowały się w całości dziwnie suche, jasne i piękne podziemia, lochy i składy sklepione, ale do nich Repeszko iść się nie napierał. Tradycya, jeszcze z firlejowskich czasów utrzymująca się w okolicy, mieć chciała, że gdzieś w lochach tych, za zamurowanemi żelaznemi drzwiami, część znaczna skarbów możnej rodziny zachować się miała; ale mimo poszukiwań niejednokrotnych, nic dotąd nie odkryto. W razie sprzedaży kasztelanic własność tych skarbów sobie zabezpieczał, trzecią ich część tylko ofiarując temu, któryby wnijście odkrył.

Repeszko, spoglądając na stosy cegieł i kamieni, uśmiechnął się jakoś niedowierzająco. Przychodziło mu na myśl opowiadanie starego księdza o odkrytej skrzyni pod pniem ołtarza u św. Michała w Lublinie.

Jakkolwiek chciwy, na tego rodzaju wędkę złapaćby się był nie dał szanowny p. Nikodem, życie oduczyło go marzeń. Obszedłszy główny dziedziniec, potem dokoła reszty murów obwodowych, zajrzawszy do krągłej baszty panującej nad okolicą, z której widok był przepyszny, co mało jednak do duszy, a mniej jeszcze do kieszeni Repeszki przemawiało, — spuścili się z wałów obrosłych drzewy, do przylegających ogrodów, równie zapuszczonych jak zamek cały. Drzewa w nich były przepyszne, ślady ulic, szpalerów niegdyś strzyżonych, a teraz bujnie odrosłych, sadzawek, które trzcina, tataraki, zielsko i pleśń w trzęsawiska pozamieniały, terasy, poniszczone altany, połamane kamienne wschody i zdobiące je wazony, — smutny przedstawiały widok. Kasztelanic chodził śród tej ruiny posępny, niekiedy tylko uśmiech krzywił mu usta..

— Sic transit gloria mundi! szeptał. Dziś rano oglądałeś waszmość wspaniałe Mielsztyńce, zachowane jak w pudełku; po południu patrzysz na skutki macierzyńskiego obchodzenia się natury z pracą człowieka. Nie powiem, żeby to pięknie wyglądało, ale przyznaj, że człowiek jak ty z pieniędzmi i bez przesądów, któremu gruz ten nic nie mówi, dla którego on, jak dla mnie, nie jest świętością i wspomnieniem — mógłby z tego zrobić wspaniałą rzecz... przepyszną... Byłbyś mospanie jak król na Rabsztyńcach. — zamek, ogród, sady, staw... a któż jeszcze wie, dłubiąc pilno w tych zwaliskach, cobyś mógł poodkrywać, nielicząc zamurowanych skarbów.

W sadzie, w którym smutnie stały rzędami omszone i podziczałe drzewa, kilka le-

dwie grządek warzywa świadczyło, że o nim ludzie pamiętali. Wiejscy chłopcy powybijali złodziejskich ścieżek dosyć śród grusz i jabłoni, i kijmi pootłukali zawczasu zielone owoce. Była to jednem słowem pustynia i zniszczenie.

Kasztelanic nie darował najmniejszego kątka, a pan Repeszko nie śmiał się wymawiać od oględzin. Nareszcie przybyli do starej kaplicy, która pod wałami stała... Oddawna nie odprawiano w niej nabożeństwa. Za lepszych czasów wzniesiona, kaplica była obszerna, niby wiejski kościółek, zawierała ona oprócz tego groby rodzinne niegdyś... ale cynowe ich trumny dawno gdzieś potopiono, a marmurowe sarkofagi leżały popękane.

Główne drzwi zabite były deskami, musieli obejść od boku i przeleźć kawał płota, aby się dostać zakrystyjnemi drzwiami do środka. Repeszko bał się przewodnika swego opuścić, choć go tam wcale nie nęciła ciekawość, Iwo zaś zdawał się mieć w tem jakąś gorzką przyjemność, żeby swą nędzę przypomnieć sobie... Kościołek wewnątrz odarty był ze wszystkiego; i głównego i bocznych dwóch ołtarzyków ślady tylko na ścianach pozostały. Gdzieś niegdzieś, na obnażonem sklepieniu grobów, z którego posadzkę zdarto, walały się łomy, kawały drzewa, resztki rzeźb złoconych. Na mały chór nie było wschodów — on sam wisiał na wpół obalony.....

Z monumentów przodków kilka jeszcze rozpoznać było można, mimo widocznie umyślnego ich poniszczenia. Na tablicach z napisami młotek całe powytłukał wyrazy... w postaciach rzeźbionych ohydne szczerby świętokradzka powybijała ręka.

Z jednego boku kamienne sklepienie grobowe obaliło się, i przez nie widać było jak czarną przepaść, podziemie, w którem stały trumny... Ale nie poszanowano w nich spoczynku umarłych, szukano znać chciwie przy zwłokach może jakich kosztowności; trumny leżały porozbijane, potrzaskane, pogniłe, w jakichś siwych popiołach z ciał ludzkich... Kasztelanic patrzał w tę głąb z ciekawością... Repeszko drżąc. Przychodziło mu na myśl, że się może sklepienie obalić...i...

— Ani jednej trumny całej! — zawołał kasztelanic. — Cha! cha!.. kiedy ruina to ruina!.. Śmierć sobie pohulała, co się zowie... Ale jak ci się to wydaje, panie Repeszko? Ma swój majestat i swą piękność to zniszczenie, hę!..

Repeszko wcale piękności tej nie rozumiał. Prawdę rzekłszy, obrachowywał w tej chwili, ile z tych trumien cynowych mogli nabywcy wytopić pięknego kruszcu na misy do krupniku i dzbany.

— Przyznam ci się, rzekł kasztelanic, siadając na kamieniu i wskazując obok siebie miejsce dosyć niewygodne gościowi, że na tę kaplicę naszę miałem szczególne projekta, starając się koniecznie zostać przy fundum w Rabsztyńcach. Myślałem, że wyrestauruję ją, oczyszczę groby, i że tu kiedyś obok moich dziadów stanie trumna dębowa (na cynową mnie nie stać i jak widzisz nazbyt obudza apetyt)... Byłbym tu sobie spokojnie spróchniał obok przodków, co zawsze jest rzeczą przyjemną. Ale tych słodkich nadziei trzeba się pozbyć, a razem i Rabsztyniec.

Repeszko nic nie odpowiedział, miał minę zafrasowaną, gdy towarzysz jego przybierał osobliwsze fizyognomie: posępną, dziką, uśmiechniętą, szyderską i gniewną na przemiany.

Posiedzieli tak chwilę... Iwo wstał i westchnął.

— Chodźmy — rzekł — nie mam ci co więcej już pokazać; kaplicę zostawiłem, jako najlepszy przysmak, na ostatek. Zdaje mi się, że powinna cię złakomić, dodał, mógłbyś ją wyrestaurować małym kosztem. Jesteś pobożny, zrobiłoby ci to i przyjemność i famę. Nie masz tu ani krewnych, ani familii, zyskałbyś od razu grób rodzinny i rodzaj antenatów spopielałych, którzyby cię przyjęli. Zawsze to rzecz przyjemna nie samemu leżeć i w dobrem towarzystwie. Jest parę Firlejów i Firlejówien, a i moich Gryfów nie mało. No jakże? Nie pokusisz się?— Żarcik ten niewczesny jeszcze smutniejszym uczynił Repeszkę, który wydobywszy się nazad przez płot z kaplicy, stał zafrasowany, nie wiedząc już co odpowiedzieć. Patrzył sobie pod nogi... Kasztelanic wziął się w boki.

— Kupujesz, czy nie? zapytał.

— Szanowny panie — ośmielił się naostatek przemówić Repeszko, — szlachetne serce pańskie i wzniosły umysł jego...

— Nie smaruj, proszę — do mnie się to nie bierze — przerwał Iwo — do rzeczy!

— Łatwo pan pojmiesz, — mówił dalej Repeszko, — że kto nabywa i płaci, ten musi potrzebować tego, co kupuje — a mnie to na co? Ja jestem człowiek ubożuchny, pokorny, maleńki... zbytków takich żebym kościoły fundował i zakładał, pozwalać sobie nie mogę. Przy tem nabycie Studziennicy, którą mi bardzo drogo kazano zapłacić, wysuszyło worek do dna — mam i dłużki......

— Nie kłam, nie kłam — masz kapitały, rzekł kasztelanic.

— Ale gdybym i miał, mój Boże, ze skruchą rzekł Repeszko, toć muszę ich tak użyć, aby mi coś przynosiły — a cóż ja z tego zrobić mogę, abym choć grosz dostał?

— Mylisz się szanowny spekulancie, mylisz — mógłbyś zarobić na tem. Ja nie zarobię, ale ty...

— A to jak — zapytał Repeszko?

— Czyż nie widzisz tego, że rabsztynieckie fundum jak wyspa leży pośród dóbr nowych nabywców, że oni je muszą kupić, bo im zawadza, robi dziurę w ich posiadłości? Gdybym ja chciał im sprzedać, grosza nie dadzą, bo wiedzą, że muszą prędzej później zbyć — ale co innego z waćpanem... Waść możesz wytrzymać. Byle nie Spytkom, przefrymarczysz sobie jak zechcesz...

P. Nikodem ruszył ramionami.

— Ciężka z tobą sprawa, zawołał Iwo. No ale polowanie w lasach, póki ja tu jeszcze jestem, zapewnione, nieprawdaż?

Repeszko się skłonił i dobył zegarka, chcąc się już uwolnić, kasztelanic go wstrzymał.

— Powiedz mi, — spytał po cichu — widziałeś Spytkową?

Repeszko spojrzał nań zdziwiony.

— Przechodzącą tylko...

— Opisz mi ją — jak wyglądała? czy miała twarz uśmiechniętą? nie była pomięszana? żadnej chmurki nie dostrzegłeś na jej czole? jestem ciekawy — o tak, jestem ciekawy.

Gość nie wiedział jak odpowiadać; począł opis bardzo szczegółowy i suchy ubrania, fizyognomii, rysów twarzy. Kasztelanic słuchał go chciwie, ale z powieści tej musiał chyba odgadywać sam rzeczywistość, bo Repeszko zmięszany bałamucił.

— Szła z synem? nieprawdaż? — spytał.., — prowadziła go za rękę... czule?

— Tegom nie spostrzegł, — odparł Repeszko... — spieszyła tylko widocznie do męża, biegła żywo, trochę zasępiona. Twarz pełna powagi i nieco surowa, trochę na niej nawet smutku.

— Smutku, czy tylko pomięszania? — zapytał Iwo — jak ci się zdaje?

— Prawdziwie, tego ja nie potrafię określić, nie znając osoby.

-- Zawsze mówisz, żeś wesela nie widział?...

— Tak mi się zdaje.

— Będziesz jeszcze w Mielsztyńcach? — zapytał po chwili kasztelanic.

— Ano, muszę dla tej łąki, — odparł Repeszko; — ale mi się coś zdaje, że mi już do zamku, do pana, przystępu nie dadzą, i pewnie tylko do Dzięgielewskiego odeszlą.

— Jednak, gdybyś tam był... słuchaj... to mi opowiesz, coś widział...

Repeszko się skłonił; coraz dla niego niezrozumialszym był kasztelanic, ale też co chwila większą budził w nim obawę. Zeszli tak rozmawiając na dół. Bryczka stała niepodal...

P. Nikodem począł żegnać się, a Iwo, jakby o owym projekcie sprzedaży całkiem już zapomniał, nie wstrzymując go wcale, kiwnął głową tylko, pożegnał i poszedł powoli do swego mieszkania. (C. d. n.)

SPRAWA POLSKO-PRUSKA

NA SOBORZE KONSTANCYEŃSKIM.

przez

M. KANTECKIEGO.

(*Ciąg dalszy*).

Wkrótce po tych zdarzeniach spostrzegamy niespodzianie w obu procesujących się stronach objawy, zdradzające kłamaną czy też rzetelną chęć ostatecznego załatwienia sporu i zawarcia trwałego pokoju. I tak 10. lipca 1416 wysyła wielki mistrz do Konstancyi pismo, z którego wcale nie dwuznacznie przebija, że Zakon niczego bardziej nad zawarcie stałego z Polską sojuszu nie pragnie. Oto, co pomiędzy innemi czytamy w tym zagadkowym liście: „Profecto nihil jucundius audire potuimus, quam tantam et vobis et nobis adesse Dei pititatem, ex qua semoes guerrarum fremitibus, quibus, aemuli pacis procurante venutia, inhumanis proti dolor cladibus haec misere corvuit Christianitas, non immerito nunc sperare possumus indubis, nos adepturos percunita cum fidei nostrae domesticis *praedules donum pacis*, quod *votis omnibus semper optavimus*, quod laboriosis sudoribus et auxiiscum suspicis et singul-

*

tibus innumeris ubique terrarum quaesivimus, nec invenire potuimus neque modo." [1])

W kilkanaście dni później, bo 2. sierpnia t. r. wysyła Władysław Jagiełło list do soboru, z którego także pozwolę sobie przytoczyć ustęp: „Qui etiam non tantum treugas hujusmodi, veram quidem pacem, nobis ac regno nostro perpetuam, inefragebilem, viscerosis flagitantes affectibus, ipsas treugas pacis, sicuti conceptae et prorogatae sunt, [2]) quantum in nobis et nostris adhareentibus fuerit, si qua pars altera simile fecerit, non obstantibus quibuslibet nostris dispendiis, suscepimus fide inconcurra observandas. Nusquam enim credimus contra pacis quaecunque foedera cuiquam hominum cirogasse injuriam, sicut nec de praesenti intendimus, nec volumus integritati fidei nostrae in aliquo derogare." [3])

Uniwersytet krakowski, idący zawsze ręka w rękę z królem Jagiełłą, nie omieszkał i teraz poprzeć osobnem pismem (z 12. sierpnia) usiłowań swego fundatora. Czytamy w tym liście: „Nempe si ipse dominus rex treugas praedictas, tantillo tempore duraturas, grato animo complectitur, quanto gratius fervidiusque pacem, sibi et regno perpetuam, per hoc cridentissimo dignoscitu affectare. Revera non affectans, ut pacem in diebus suis duntaxat habeat, sed ut regno suo ad jura statumque sedacto pacatoque, pacem, quae omnem essuperat sensum, felicius nanciscatur. Nos praeterea, ex experientia, rerum magistra, luce clarius cognoscimus, legimusque, quod non nisi pacis tempore perfecto colitur pacis auctor. [4])

Wobec takich zapewnień i tak nagle na jaw występującej żądzy pokoju, nasuwa się na myśl pytanie, czy objawy te były szczere, czy tylko zmyślone? Że słowa Jagiełły, a tem samem i uniwersytetu krakowskiego były prawdziwe, o tem wątpić prawie nie podobna ze względu na wielkie niebezpieczeństwo, wciąż jeszcze grożącego Litwie ze strony Tatarów. Trudniejszem daleko do rozwiązania pytanie, co wobec niebezpieczeństwa grożącego Litwie, a ubezwładniającego tem samem i Polskę, skłonić mogło Zakon do słów, tchnących tak pojednawczem usposobieniem? Być może, że mniamanie moje błędne, ale zdaje mi się, że list wielkiego mistrza wywołany został nie czem innem, tylko niebezpieczeństwem, jakie Zakonowi zaczęło grozić od północy ze strony Danii. Królowi duńskiemu chodziło już od dawna o posiadanie Rewla, które to estońskie miasto znajdowało się w rękach złączonego z Krzyżakami mistrza inflandzkiego. W ostatnim czasie, o którym mowa, szukał król duński widocznie zaczepki, to skarżąc się na złe traktowanie swych posłów przez Gdańszczan, to mięszając się w różne inflandzkie sprawy. [5])

Jak płonnemi jednakże były wszelkie widoki zakończenia sporu między Polską a Zakonem na drodze pokojowej, tego najlepszym dowodem zjazd w Wielonie nad Niemnem, przywiedziony do skutku za staraniem inflandzkiego mistrza Sygfryda z Lander, w połowie października. Zjechali nań z jednej strony Jagiełło i Witołd, z drugiej Michał Küchmeister wespół z zakonnymi dostojnikami. Uderzające postępowanie wielkiego mistrza, który nie tylko, że nie uważał za potrzebne odwiedzić króla w jego kwaterze, ale nawet rycerzom zakonnym, zaproszonym przez Jagiełłę na ucztę poranną, zaproszenia tego surowo przyjąć zakazał, zniweczyło od razu wszelką nadzieję zgody. Gdy następnie wielki mistrz posłyszał, cokolwiek za wygórowane wprawdzie warunki strony przeciwnej, opuścił bez zwłoki z całym swym orszakiem miejsce zjazdu, nie pożegnawszy ani króla, ani wielkiego księcia. [1])

Prof. Caro (III. 465) uniewinnia zachowanie się wielkiego mistrza w Wielonie okolicznością, że „Michał Küchmeister nie miał zapewne odwagi spotkać się oko w oko z tym, w którego obecności kiedyś wojenne usposobienie Henryka Plauena napiętnował jako jedyną przyczynę bezustannych między Zakonem a Polską zatargów. Interpretacya ta może być po części i słuszną, ale nie wyjaśnia nam wcale, dlaczego wielki mistrz, jeżeli już sam nie miał czoła stawić się przed Jagiełłą, nawet podwładnym rycerzom wszelkiej z królem zakazał styczności? Mojem zdaniem zależało teraz wielkiemu mistrzowi na tem, aby, bądź co bądź, przerwać rokowania, którym od samego początku był przeciwny, a do których skłoniły go tylko zabiegi inflandzkiego mistrza; znając drażliwość Jagiełły na wszelką obrazę swojej osoby, uderzył Michał Küchmeister przedewszystkiem w tą słabą stronę króla, a gdy to nie pomogło, użył pierwszej sposobności jaka mu się nastręczyła, i opuścił Wielonę. Długosz (XI. 180) podaje nam prawdziwą przyczynę tego kroku, mówiąc: „Dla tego zaś mistrz pruski z swymi towarzyszami tak się hardo nadymał, że liczył z pewnością na pomoc Tatarów, układając sobie, iż gdy car tatarski z potężnem wojskiem uderzy z jednej strony na Litwę, Ruś i Polskę, wówczas on z drugiej, jak się był z tymże carem tatarskim przez posły umówił, z swemi siły wpadnie do Polski, i że nie wrócą z wyprawy, póki obu tych państw: Polski i Litwy, nie zniszczą pożogą i łupiestwy." Widoczne ztąd, że stosunki z Danią znacznie spokojniejszą już wówczas przybrać musiały postać.

27 stycznia 1417 r. wrócił nareszcie do Konstancyi po ośmnastomiesięcznej blisko nieobecności cesarz Zygmunt — razem z nim powrócił także arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba, wiozący z sobą wspominamy już kilkakrotnie paszkwil dominikanina Jana Falkenberga. W piśmie tem, ułożonem bez wątpienia z poduszczenia wielkiego mistrza, a pełnem najwścieklejszego jadu przeciwko królowi polskiemu i wielkiemu księciu Litwy, dowodzi autor, że całe królestwo polskie, jako gniazdo jaszczurcze, zburzyć a mieszkańców jego bez litości wytępić należy: Gorliwe zabiegi arcybiskupa Mikołaja sprawiły, że rozsiewacza tych barbarzyńskich teoryi, Falkenberga, wtrącono do więzienia; pismo jego zostało na zebraniu czterech narodów i przez kollegium kardynalskie potępione, przy czem postanowiono, aby sprawę raz jeszcze na publicznem posiedzeniu przedłożyć do rozpatrzenia. Najdzielniejszą pomoc w tym względzie znalazł Mikołaj w kanclerzu paryskiego uniwersytetu, Janie Gersonie, który przez potępienie Falkenbergowego paszkwila zyskiwał zarazem wyrok przeciwko podobnej treści pisma Jana Petit (Parvus), opiewającemu, że tyrana każdemu zamordować wolno.

(D. n.)

---

[1]) Hardt IV 872—874.

[2]) Mowa tutaj o przedłużeniu rozejmu 16 kw. 1416 r. o którym wyżej.

[3]) Hardt IV. 867—872.

[4]) Ibid 674—878.

[5]) Cfr. Voigt VII. 288. List wielkiego mistrza do soboru nosi datę 10. lipca; pismo jego do mistrza inflandzkiego, w którem mowa o mięszaniu się Duńczyka w sprawy ostatniego (Voigt, ibid, uw. 3) datowanie w wigilią św. Trójcy 1416 r.; daty więc dość ze sobą zgodne. I to, że właśnie m. infl. tak czynnie zajmuje się przywiedzeniem do skutku zjazdu wiedeńskiego, mówi za moją konjekturą.

[1]) Jak się samo przez się rozumie, nie omieszkał uwiadomić Jagiełłę o calem wydarzeniu zgromadzenia konstancyeńskiego. Oto, co pomiędzy innymi pisze do Zygmunta (Raczyński l. c. 211); Ipsi nullis nobis datis responsionibus, cum furore vehementi navigantes a nobis sine fine recesserunt, nec ipse Magister tanta honestatis praeditus est decentia, ut nostram majestatem. quam sibi habuit in propinquo, visitasset, aut Marschalko et quibus dam suis commendatoribus, quos nobiscum prausuros vocavimus visilandum indulsirset. Voigt. w swojej zaciekłej stronniczości powiada: Noch nie hatte der König seine Meisterschaft in Lüge, Arglist und Verleumdung besser bekundet, als in diesem durch und durch unwahsen und unwirdigen Berichte (VII. 293). Voigt zapomniał widocznie, że zaledwie kilka wierszy wyżej sam przyznał, idąc za Janem Posilge (365), iż wielki mistrz, posłyszawszy warunki, natychmiast się oddalił nie pożegnawszy ani króla, ani Witołda, i nie ujrzawszy ich wcale. Zkądże pytam, prawo do tych pięknych epitetów, któremi tak hojnie obdarzył polskiego króla — skoro Jagiełło w relacyi swej donosi o faktach, których szanowny autor historyi pruskiej nie zbija i zbić nie może! W tym samym stylu, co przytoczony ustęp, napisane całe dzieło ojca historyografów pruskich, gdzie chodzi o skreślenie postępowania Polaków. Jestto jeden z niespożytych pomników niemieckiej bezstronności i gruntowności!

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA".

(Ciąg dalszy.)

— Więc to pan jesteś doktor Proszkiewicz, pan? — pyta Tadeusza, siadając na fotelu i przenosząc figlarny wzrok z jednego doktora na drugiego. — Ach, mój Boże! czemuż pan nie odpowiadasz? czyśmy was oczarowały!...

— Rzeczywiście — bąka nasz koncypient spuszczając oczy — tak jest.. ja...

— A pan, panie doktorze, pan Rekursowicz, wszak prawda?

Paweł tylko się ukłonił, poczerwieniawszy, jak wiśnia.

— Szczególniejsza rzecz — mówi dalej panna Ludwika — że u nas na Litwie doktorzy wcale inaczej wyglądają, prawda Joasiu?

— Ależ, duszko moja...

— Nasi doktorzy mają zwykle długie włosy, ciemne okulary i po większej części zaplamione klapy od paltotów... Prędzej już pan Rekursowicz wygląda na doktora... Przepraszam pana, czy pan żonaty?

— Nie, pani dobrodziejko — mówi uśmiechając się Tadeusz.

— Chyba że tak, bo zwykle uczeni i poczciwi mężowie lubią się zaniedbywać.

— Pani dobrodziejka żartuje...

— Mój Boże, dlaczego pan doktor robisz mię jakąś dobrodziejką... jeszcze nikomu nic dobrego nie zrobiłam.

— U nas, proszę pani, taki zwyczaj..

— I u nas taki sam, ale dla zakonnic i osób już siwych, poważnych matron; a ja przecież, choć schorowana, nie wyglądam na taką.

— Rzeczywiście tego... przepraszam.

— Moja Ludko — przerywa starsza dama — zacznijże już mówić o swojej chorobie... zabierasz panom czas...

— I owszem, niech pan doktor bada. Od czego mamy zacząć? czy od języka, czy od pulsu,

czy od pukania? A może panowie lubicie się wsłuchiwać co się tam wewnątrz dzieje?

— Przyjdzie i do tego, właśnie mój kolega, jako doktór sercowy, jest mistrzem w słuchaniu — rzecze Tadeusz — ja zacznę od egzaminu ustnego.

— Och, co do tego, to moja siostra gotowa dysputować i kilka godzin — rzecze śmiejąc się pani Joanna — ostrzegam pana doktora, że lubi zbaczać od przedmiotu...

— I owszem, będziemy szczęśliwi...

Tymczasem Pawełek, widząc, że do niego nie zwraca rozmowy pacyentka, machinalnie zaczął szukać kapelusza, niby z zamiarem wyjścia.

— Czy pan myśli nas zostawić? — pyta panna Ludwika figlarnie, uderzając wachlarzem o kolano.

— Sądzę, że na chorobę pani rada mojego kolegi będzie aż nadto wystarczającą.

— Przepraszam, niech pana pozory nie mylą.. Zresztą mam dwie choroby, jedną fizyczną, drugą moralną, a że pan doktor jesteś specyalistą w słuchaniu.

— Rzeczywiście, kolega mój jest doktor poeta..

— To wyborne, wyborne, proszę, zostań pan, cierpię także na apatyę...

— Więc od czego zaczniemy — rzecze już uspokojony Tadeusz — czy od fizycznej, czy od moralnej?

— Cierpię ból głowy, czasem bardzo dokuczliwy, ot tu najczęściej w skroni. Proszę, niech pan dotknie, ot tu, tu — mówi biorąc rękę Tadeusza i przykładając do czoła. — Czujesz pan, jak tam puls bije?

Jestem przekonany, że nic nie czuł, będąc zażenowany niezwykłą śmiałością panienki.

— Przepraszam pana doktora — odzywa się pani Joanna do Pawełka — że będę go prosiła o małą informacyę. Jesteśmy pierwszy raz w Krakowie i zupełnie obce, a potrzebujemy porady prawnika. Po babce naszej, zmarłej przed miesiącem we Lwowie, otworzył się spadek...

— Czy można zapytać panią o nazwisko babki? — wtrąca Tadeusz, zainteresowany tą rozmową.

— Urodzona Kupajtyłło, a ostatecznie wdowa po hr. Kotulińskim.

— Ależ to kolosalny spadek! — rzecze prędko koncypient. — Kamienica we Lwowie, trzy wsie na Podolu, gotówki parę kroć; wiem, wiem, słyszałem...

— A bodajże cię diabli wzięli — szepnął sobie, spojrzawszy z wyrzutem na Pawełka — potrzebna mi ta mistyfikacya; co tu robić, szkoda takiego interesu.

— Tak nam donoszono — mówi obojętnie Ludwika.

— A pani dobrodziejka ma papiery?

— Wszystko w porządku, tylko trzeba je legalizować w Wiedniu w ambasadzie rossyjskiej. — Jest plenipotencya od siostry Komarowskiej, od matki, od męża, bo tylko dwie zostały po niej córki...

— A co mię też podleciało — mówił do siebie Pawełek — robić takie figle — ot głowa, głowa... I widocznie okoliczność ta zirytowała go do tego stopnia, że odezwał się cierpko do kolegi:

— Mój drogi, nie zajmujże pani na próżno.. ale badaj chorobę...

— Jednak radzę udać się do mecenasa Wrześniowskiego...

— No, teraz już nie wiem z kim mam do czynienia — mówi Ludwika zwracając się do Pawła. — Panie doktorze, proszę tu bliżej, może się prędzej porozumiemy...

— Przepraszam... rzeczywiście tego — nie wypada dwie sroki naraz..

— Bardzo ładnie, o! bardzo grzecznie... więc mnie pan tu bierzesz za jedną srokę? Daruj panie doktorze, ale jak na Kraków, porównanie to nie bardzo..

— Mój kolega miał na myśli rzecz, a nie osoby — tłómaczył Paweł — sukcesyę i chorobę...

— Więc niechże rozprawia z Joasią o tej sukcesyi, a pan, panie Rekursowicz, wszak prawda?

— Tak jest...

— Bądź łaskaw, zajmij się tą sroką litewską, podług wyrażenia pana doktora.

— Czy mam zacząć od moralnej?

— Naturalnie, wszak to pana specyalność.

— Więc cóż pani jest?

— Nic.

— A zatem?

— A zatem źle, bo powinno być coś...

— Doprawdy, takiej choroby nie rozumiem — rzecze wesoło Pawełek, spoglądając w oczy swej pacyentki. — Może pani doświadcza bolu, albo przyspieszonego bicia serca?

— Właśnie chciałabym czegośbądź doświadczać. I całe moje nieszczęście, cała choroba, czy apatya, że bije sobie tak regularnie, jak staroświecki zegar wujaszka, ośmdziesiąt pięć razy na minutę, ani mniej, ani więcej...

— Takim sposobem, chyba pani pragniesz nabawić się jakiej choroby, aby się zmienił ten takt sercowy?

— To, to, to! zmiłuj się, panie doktorze, pomóż mi zachorować — jednostajność taka właśnie jest powodem mojej apatyi...

— I na to chcesz pani użyć lekarstwa?

— Naturalnie, jeżeli już bez niego się nie obędzie... Cóż pan tak się uśmiechasz, panie doktorze? czy to jest nieprawdopobnem?

— Owszem podobnem... Tylko jaka choroba, takie musi być i lekarstwo...

— Naprzykład?

— Moralne...

— Zgadzam się na moralne, byle nie homeopatyczne. Nie lubię tych cackań się i drobnych działków... Ciekawa też jestem słyszeć w tym względzie radę pana doktora?

— Apatya każda leczy się szybko wstrząśnieniem silnem.

— Zgadzam się... Otóż właśnie ja chcę takiego silnego wstrząśnienia, czegoś nadzwyczajnego...

— Niech pani dobrodziejka — wtrąca przeglądający papiery Tadeusz — pojedzie do Wieliczki zwiedzić kopalnię... to są rzeczy bardzo nadzwyczajne... ogromne pieczary z soli... Daję pani słowo honoru — dodaje widząc wątpliwość panny Ludwiki — z czystej soli...

— Dziękuję panu — będę korzystać z rady pańskiej...

— A ja gotów towarzyszyć paniom... znam doskonale saliny, byłem już dziewięć razy...

— Tembardziej będzie mi przyjemniej, że damy panu sposobność być dziesiąty raz..... Ale panie doktorze — kontynujmy dalej naszą rozmowę — rzecze spoglądając figlarnie na Pawełka.

— Sądzę, już sprawa załatwiona — mówi uśmiechając się dwuznacznie młody doktór — kopalnie soli...

— Ależ na miłość boską, mnie soli nie brakuje, w razie potrzeby mam zapas lepszej niż wielicka, mam prawdziwą attycką.

— O już co się tyczy dobroci, to daruje pani — odzywa się z całą powagą Tadeusz — nie ma lepszej jak wielicka, bo wszyscy przyznają..

— Do rosołu, czy do jaj na miękko?

— Ale gdzież tam, do wszystkiego...

— I do apatyi serca...

— Przepraszam, przepraszam, do serca... trzeba innej... klin klinem pani dobr..

— Jak to pan rozumiesz?

— Drugiego serca również z apatyą...

— Szanowny panie Pruszkiewicz — wszak prawda, pan nazywa się Pruszkiewicz, czy tak?

— Tak.

— Pan jesteś homeopatą... po minie zaś pana Rekursowicza widzę, że jest innego zdania, prawda panie?

— Owszem, kolega mój trafnie rzecz osądził, tylko nie z tego stanowiska.

— Soli?

— Ależ nie, tego klina... czy tam drugiego serca...

— Na miłość Boską, tłumaczże się pan jaśniej... Cóż mam robić... proszę powiedzieć wyraźniej!

— Zakochać się... — wymęczył ten wyraz z ogromnem zarumienieniem się Pawełek...

— Bardzo zwyczajna rada, przyznam się panu. Zakochać się, poczem naturalnie pójść za mąż... notabene, aby tylko nie za doktora.

— Naturalnie, nie za doktora — wtrąca ożywiony Tadeusz, zapomniawszy, iż odgrywa tu rolę lekarza...

— Ciekawym, dla czego nie za doktora? — pyta z pewnem zasępieniem Pawełek.

— Bo doktorzy są najnudniejszymi mężami na świecie... Mam jedną koleżankę z pensyi, która wyszła za mąż za doktora, to mówię panom, kobieta ta obok wielkiej miłości swego męża, cierpi prawdziwie medyczne katusze. Niech tylko kaszlnie — już ją skazuje na leżenie przez dwa dni w łóżku, — wszystkiego nie może, wszystkiego jej nie wolno... Kiedy wody chce się napić, no, tej prostej wody, to mąż zaraz sam jej nalewa i pokazuje ile może wypić... Deszcz pada, nie da jej wyjść z domu; wiatr wieje — owija jej szyję czterołokciowym szalem i ubiera w flanelowy kaftanik... Z pięknej wesołej kobiety zrobił jakieś prawdziwe czupiradło, pod kapelusz każe jej brać czepek na uszy... wyciętej sukni... broń Boże nigdy...

— Że tam jakiś dziwak tak postępuje z żoną — mówi śmiejąc się Paweł, czyż wszyscy mają być tacy?...

— Wszyscy doktorowie są nudni, jako mężowie... nie w ten, to w inny sposób, zawsze nudziarze...

— Ma pani racyę — dorzuca Tadeusz...

— Jakto? pan mówisz sam przeciwko sobie...

— To jest... tego.. niby przeciw sobie...

— Przynajmniej jesteś pan otwartym człowiekiem.

— Tak, tak, jak brama Floryańska.

— Wybornie... udało się panu!... prawda, jak ta odwieczna brama... masz pan racyę... brakuje tylko panu świętego Floryana na piersiach...

— Za to, pani dobrodziejko, mam inny medalik... zawsze noszę... serca Jezusowego...

— Pan jesteś nabożnym? pan, doktor?...

— Trzymam się tradycyi i wiary przodków... kto z Bogiem i Bóg z nim...

— Jaka to szkoda, żeś pan doktorem medycyny... — rzekła jakby do siebie panna Ludwika, wydawszy lekkie westchnienie...

Pan Tadeusz zerwał się bardzo energicznie z krzesła, i już już chciał się przyznać, że nie jest doktorem, lecz surowy wzrok i ogromny mars na czole kolegi wstrzymał go od tego.

— Ludko, serce — odzywa się z kanapy pani Joanna, składając album z fotografiami, które oglądała — kończże już swoję konsultacyę, zabierasz czas panom.

— Kiedyśmy jeszcze nie doszli do żadnego rezultatu...

— Sądzę, pani, że i nie dójdziemy — mówi grzecznie Pawełek, siostra pani jest w bardzo wesołem usposobieniu żartowania z naszej rady...

— Panie doktorze — jak można tak sądzić o mnie? — rzecze spoglądając z wyrzutem na Pawełka — seryo mówię panu, jestem chora..

— Ja też na seryo zaleciłem pani kuracyę...

— Kiedy pan wyglądasz na obrażonego!... Proszę, daruj mi taki sposób traktowania; my Litwinki, lubimy być naturalne... chyba, że nudzi pana moja paplanina... i chciałbyś nas się pozbyć...

— Proszę mi wierzyć — rzecze z dystynkcyą Paweł — że gabinet mój doktorski nie widział jeszcze przyjemniejszej i dowcipniejszej pacyentki, i że pragnąłbym, aby ta wizyta przeciągała się bez końca...

— Ja bo, przyznam się pani dobrodziejce, przepadam za naturalnością... Co to jest męczyć się jak u nas w Krakowie nad wynajdywaniem przedmiotu rozmowy z kobietami. Zaczniesz o teatrze, ani be — zaczniesz o literaturze ja znowu ani me... Przyznam się pani, nie czytam tych głupstw dzisiejszych... szkoda oczu... wszystko to kłamie... Teraz że wojna, zaprenumerowałem sobie Nową Pressę, to ci panie gazeta... a te nasze krakowianki, lwowianki... tylko się kłócą, wymyślają sobie...

— Jak mi to pochlebia, że pan lubisz naturalność...

— Rzeczywiście pani dobrodziejko... że wszystkie czułości, sentymenta, na co się zdały... zdrowie dobre niech będzie, apetyt dobry, humor dobry, a przytem oszczędność ale umiarkowana, jakiś zapasik...

— To zupełnie tak jak ja,... prócz tej nieszczęśliwej apatyi — mówi śmiejąc się Ludwika.

— Ja i na tę mam lekarstwo...

— Zmiłuj się pan, powiedzże mi...

— Ot idę na Krzemionki na spacer..

— Cóż to za Krzemionki?

— Miejscowość z pół mili za Krakowem— idę tam i jak się zmacham porządnie, to potem śpię jak zabity... A w śnie za to jedzie się gdzie za granicę.

— Pan lubisz podróże...

— Kosztują to prawda, ale czegoż sobie człowiek ma żałować. Nie lubię tracić na karty, na książki, na śniadanka, na obrazy czy konie, a ja, proszę pani, mam przyjemność, że poznam kawał świata... i radzę pani toż samo... nic, tylko podróże... (C. d. n.)

BOHDAN ZALESKI

wobec dziejów liryki polskiej.

Studyum A. G. Bema.

(Ciąg dalszy)

Opis wiosny w „Księżnej Hance“ jest utworem najbardziej „Śpiewowi poety“ pokrewnym. Nastrój wiersza — pogodny; miara — jak zwykle u Zaleskiego — trochaiczna, ośmiozgłoskowa. Wątpię, czy ktokolwiek spierać się ze mną będzie, gdy powiem, że w literaturze naszej nic nad ten ustęp piękniejszego w danym rodzaju nie posiadamy. Ile tylko jasnych barw i miękkich tonów skarbnica mowy zamyka, wszystko to w pięćdziesięciu niespełna wierszach zostało przez poetę po mistrzowsku w jednym obrazie budzącej się natury złożone. Z modrej niebios głębiny zstępuje na padół ziemski alegoryczna postać bożej córy, słowiańskiej „Wiosny-krasawicy...“ Ukraińcy na kolana padają... „Strojna, luba, rozkochana“ Wiosna płynie — przypływa powietrznym szlakiem, siejąc po wszej ziemi „rajską woń i dźwięki...“ Jaskółki i żorawie już jej przybycie obwieściły... Życie wzrasta, bogaci się, mnoży: kraina powietrzna, majowe kobierce, przejrzyste wody, oświecone dobroczynnym słońca promieniem, błyszczą, grają miryadami skier i tonów:

„Tu — gdzieś w gaju roskosznica,
Cicho — cicho oblubieńca
Wabi w świetle tam księżyca!
Coś czaruje blaskiem wieńca!
Czuć, jak płomień bucha z lica —
Z pełnej piersi dysze wonią —
Już się skłania — już się skłania —
O! słowiki głośniej dzwonią...
Czy słyszycie całowania?
Już się skłania — już się skłania!“

Taż sama, pełna pogody *muzyka słów* dźwięczy w wielu wiośniankach i szumkach. W utworze „Bied-bieda“ („W spółce ze słowikiem“) autor wypowiada po swojemu lotne marzenia pieśniarzy-ludzi i pieśniarzy-ptaków, skarżących się iście słowiczym językiem na serdeczne i wieszcze bole, na niewdzięczność, echem ich cierpień kołysanego świata. Treść ogólna przypomina nieco jeden ze wspomnianych powyżej bladych wierszyków („Fijołek“); nie dostrzeżesz tu jednak ni cienia naśladownictwa. Wiośnianka „Ta-na-na-na...“ jest o tyle do „Bied-biedy“ podobną, że obie mogą być uważane za doskonałe okazy *sztucznej harmonii dźwiękowej*, przez którą poezya nabywa wprawdzie ponętnego blasku, ale schodząc ze swego piedestału, *w objęciach siostry muzyki lica swe ukrywa...* „Bied-bieda“ przedrzeźnia śpiewowi słowika, „Ta-na-na na-ti-ni-ni-ni“ — zalotnemu mruganiu oczek Hanny-świtezianki. Inna, w treściowym z powyższemi związku zostająca wiośnianka pn. „Spotkanie się gdzieś daleko“ brzmi również pełną świeżości melodyą, a pod względem biograficznym zaznacza może chwilę, w której samotne długo na obczyźnie serce poety, pod wpływem spojrzeń czarnobrewej rodaczki bić znowu żywiej poczęło. Jest to niby połowiczna odpowiedź na wyrażoną gdzieindziej (w „Synowskim żalu“) wymowną do Anioła-Matki o towarzyszkę życia modlitwę... Podobnego rodzaju kwiatkiem, kwiatkiem pełnym prawdy, krasy i woni są „Rojenia wiosenne.“ Autor „podsłuchał“ w nich, jak słusznie powiada M. Grabowski, różanych polskiej dziewicy „marzeń.“ Utworek ten wyżej cenimy, niż „Bied-biedę“ i inne, w których gra brzmień nad przędzą myśli zbyt widoczną odnosi przewagę. Dziewczę marzy pogodnie przy krosienkach o sobie i spodziewanym gościu, a szczegóły przejrzystej myśli nie tworzą, jak gdzieindziej, wirów lub kół błędnych, lecz w pewnym ciągu i następstwie jedne z drugich się wysnuwają.

Korona jednakże tych melodyjnych piosenek, na których osnowę składa się *niebo, serce i wiosna*, to naszem zdaniem fantazya „Rusałki.“ Treść utworu następująca. Śmiały kozak, Cisław Zorza, postanawia, tknięty dumą, wybić się z pod despotycznej władzy ukochanej sercu, a srogiej czarodziejki Zoryny, i w tym buntowniczym celu pospiesza ze skargą do „Żałów ucha,“ jaskini, tajemniczego przybytku rusałek. Powracając spostrzega, jak ubóstwiona tańczy i śpiewa w gronie rówiennic ukraińską „przepióreczkę.“ Czarodziejka chwyta go za rękę, każe usiąść na murawie i zakreślonym nóżką mistycznym kręgiem od siebie i swej drużyny odgradza; sama zaś w wesołem kole ucieka po błoniu z przed oczu kochanka. Bohater „kryjąc wielką zdradę“ pędzi potajemnie za niemi i śledzi oczyma... Już miał napaść znienacka; gdy nagle w tęczowej łodzi po jasnym od słońca strumieniu powietrznym spływają rusałki i zawodzą *chorowodowy* taniec dokoła Zoryny... Strach owłada Cisławem: pragnie już odwołać uczynioną skargę; a gdy słowa się plączą, jedna łza serdeczna dokonywa cudu, i dziewica, uwolniwszy się od bladych boginek, pada w objęcia strwożonego młodziana.

Utwór ten nosi wszelkie znamiona osłonionego mgłą fantazyi ustępu z własnych dziejów serca. Chwilka szczęścia niewinnego zabłysła kiedyś wieszczowi... minęła, a wspomnienie skrystaliło się w błękitnym obrazku „Rusałek,“ których dewizą jest dwu-wiersz Kazimierza z Królówki:

„Trzeba chcąc czucie rozszerzyć,
Tworzyć bóstwa i w nie wierzyć.“

Dewizie tej, zgoła zresztą utworowi odpowiedniej, niepodobna w pewnej mierze odmówić słuszności. Nie zajęłaby nas tak może, ni miłość Mickiewicza dla Maryli, ni Słowackiego dla owej „wcale nieładnej“ w rzeczywistości, jak się sam wyraża, Maryi W. (która jednak przeniesiona w sferę ideału, stała się „jasną królową z poematu „w Szwajcaryi,“) gdyby ci wieszcze, korzystając z właściwej im potęgi, nie podnieśli byli swych wybranek do godności ziemskich niemal półbogiń. Czy jednak rusałki w „senliwej“ Bohdana sielance przyczyniły się do rozszerzenia na tłumy złożonego tam *czucia*, pozwalam sobie o tem wątpić. Więcej nawet powiem: czucie to zwykłym czytelnikom udzielić się nie może dla tej prostej przyczyny, że przenikający tkań powieściową pierwiastek cudowności pogrąża zbytnio ziemską prawdę w mglistej mrzonek błękitnawych powodzi. Po wielokrotnem nawet odczytaniu tej pięknej fantazyi, trudno jeszcze prostą na pozór nić opowiadania uchwycić.

Prawda, że ładne są i pieściwe te trochaiczne, z czterech ośmiozgłoskowych wierszy składane zwrotki; prawda, że pełno tam czarodziejskich skier, kwiatów i wiosennej woni; a tu i ówdzie błyśnie jakby od niechcenia skradziony matce-naturze cudowny krajobrazek, śród którego chętnie by czytelnik, jak w raju, spoczął i odetchnął; ale to wszystko nie przemawia życiem i myślą ludzką do ludzkiego ducha, i jak widmo

optyczne ukazuje się i znika bez głębszego śladu...

Tłumacząc szczegółową osnowę „Rusałek“ na język śmiertelnych, musimy naturalnie, jak to dopiero co powiedzieliśmy, ujrzeć w nich wspomnienie czystej pod wiosnę życia miłości, na której historyą składa się częstokroć tysiące różnobarwnych przywidzeń, tysiące drobnych, potęgowanych przez serce i fantazyą wypadków... Autor przedstawił pojedyńcze pasmo, typ niejako tych serdecznych urojeń i zdarzeń. Uczucie odwzajemnione minęło, jak sen majowy, pozostawiając po sobie łzawą tęsknotę, a ta w swej kolei powołała później „do zmartwychwstania w pieśni, co umarło w rzeczywistości.“

Mimowoli bierze nas ochota zestawić w kilku słowach ten poemacik ze spółczesną mu prawie prześliczną sielanką Słowackiego „W Szwajcaryi.“ Znaczna między obu tymi utworami różnica, ale i wielkie podobieństwo. Poemat Słowackiego szersze daleko ma ramy. Większa tam nierównie obfitość myśli i obrazów; a obrazy te, dyszące siłą rzeźbiarską i dramatycznym ożywione ruchem, wiążą się w jeden ciąg czysto człowieczego a zrozumiałego dla większości erotycznego eposu. U progów „kaplicy Tela,“ w „lodowej grocie,“ „pod kaskadą,“ wszędzie oglądamy nie dwa widma blade, lecz otoczonych nimbem poezyi dwoje śmiertelników. Marzą oni spólnie, płoną wzajemnem uczuciem, a „ściany ze skał.“ „wieńce z borów,“ łąki, wody, niebiosa czują jakoby dolę ich i niedolę, wraz z niemi bledną, rumienią się lub śmiertelnym obtoczą kirem. A wszystko to tak świetną, tak ludzką malowane mową, że każdy z czulszych na piękno czytelników już po pierwszem odczytaniu i niepospolity artyzm odczuwa, i w treść sielanki wtajemnicza się bez trudu.

(C. d. n.)

Z PAMIĘTNIKÓW

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

POWRÓT Z BAGDADU EUFRATEM (1871 r.)

(Ciąg dalszy.)

Podjazdową tę wojnę z szczególną uwagą obserwował niby wcale nie bacząc, co się w około niego dzieje, chudy Arab, z ryżą, rzadką brodą, zatopiony zupełnie w cichej modlitwie, której szepty od czasu do czasu przerywał głośnem z głębi piersi westchnieniem i pokornem Allah, Allah. Był to Kiatib, pisarz administracyi parowej żeglugi.

Zbierając przybory mje myśliwskie na wycieczkę na ląd, pochwyciłem pewien rodzaj zadowolenia na twarzy pobożnego Kiatiba, w chwili gdy kapitan spać odsyłał murzyna, — zadowolenie to jego jeszcze wyraźniej podniosła odpowiedź Abissyńczyka. Ale pan siebie, zręcznie je pokrył modlitwą bardziej gorącą. Odgadłem w panu pisarza biegłego intryganta, i postanowiłem studjować go nieco. Tego rodzaju ćwiczenia psychologiczne nadzwyczajnie są ważne dla europejczyka na Wschodzie mieszkającego, — my z natury naszej w ogóle nie jesteśmy podejrzliwi i rzadko kiedy umiemy dojrzyć zręcznie zdaleka zarzucone na nas sieci, w których robocie i zarzucaniu z pewnością ludy orientalne jakiejbądź religii są znakomitymi mistrzami.

Przeszło cztery godziny było jeszcze do zachodu słońca, ogień zgaszony, więc bez obawy żeby mnie parowiec odpłynął, pomimo silnego gorąca wybiegłem ze strzelbą. Z suchych traw stopa moja spędzała płachty świerszczących koników — powietrze na parę stóp od ziemi drżało wyraźnie i zdawało się płynąć lekko zkędzierzawionemi falami; pomimo nieba najczystszego, powietrze było bez przezroczystości, bliskie przedmioty zdawały się leżeć na dalekim krańcu widnokręgu szczególnie podniesione. Na parę set zaledwie kroków odemnie pasące się wielbłądy zdawały się na olbrzymich szczudłach wywyższone nad ziemię, która jakąś szarobłękitnawą migającą się gazą pokryła. Prądy te drgającego, lekko pofalowanego powietrza, są główną przyczyną tworzenia się na równinach pustyń Wschodnich majaków (mirage).

Zmuszony z powodu służby częste odbywać wycieczki w równiny Mezopotamii, zauważyłem w jednem i temże samem miejscu stojący zawsze w wodzie znaczny las wysokich drzew, podobnych do wyniosłych i szeroko rozramienionych topól balsamicznych. — W miarę przybliżania się doń, niknął, a jego miejsce zajmowały jeziora tu i ówdzie pokryte wysepkami kulistych wierzb. Uderzony powtarzaniem się tego samego na jednem miejscu obrazu, począłem szukać, co może przybierać kształty owych topól, których nigdzie nie ma, wyjąwszy chyba podobne im białodrzewy, które dość często zdarzają się na wyspach Tygru i Eufratu, których jednak odbicie się na pustyni od tych rzek odległych nie zdawało mi się zbyt możebnem, i wpadłem na podejrzenie, że kilka mórg pięknej bujnej bawełny znajdującej się na drodze są moim lasem. Przy pierwszej sposobności wysłałem naprzód towarzyszącego mi beduina, i w polu bawełny kazałem mu zatknąć długą jego lancę bambusową, opatrzoną tuż pod grotem buńczukiem z końskiego włosia. Podejrzenie moje było słuszne — z radością ujrzałem po nad lasem jakiś wysmukły minaret, z wielką galeryą dla muezina, ozdobioną długą igłą, na której zwykli umieszczać synowie proroka godło swoje, księżyc na nowiu; z łatwością poznałem w tym minarecie lancę beduina; w galeryi jej buńczyk — a jej grot w igle błyszczącej. Odkrycie to naprowadziło mnie na pewną drogę badania majaków do tego stopnia, że nauczyłem się poznawać w różnych drzewach mirażowych, rośliny które ich kształty przybierają. I tak krępe okrągłe osty są wierzbami, bylice cyprysami, a różne ostromlecze (eupherbia) zamieniają się w pyszne palmy; małe wyniosłości ziemi, pagórki, kretowiny nawet, w wyspy kąpiące się w jasnej wodzie, która jest tylko prostą powodzią drgającego powietrza, od którego odbijają się promienie słońca. Doświadczenie nauczyło mnie, że przedmioty majaków według naturalnej swej wielkości są widzialne bliżej lub dalej, że drgające prądy powietrza płynące w jednym kierunku, a dające się bardzo dobrze obserwować, gdy się oprze oko na jakim stałym przedmiocie, o parę set kroków najdalej o kilometr (około 1200 kroków) juz zlewają się z sobą i dla źrenicy zamieniają się w wodę, że w czasie lekkiego gorącego wiatru miraże tworzą się częściej i bliżej, i że nigdy nie zdarzyło mi się ich widzieć przy silnym wietrze, ani przy temperaturze niższej od 21° stustopniowego ciepłomierza, dlatego też majaki w zimie mają miejsce tylko między godziną jedenastą rano i drugą po południu, i nareszcie że potrzebnem jest do utworzenia się zjawisk pewne wzniesienie się słońca nad poziom ziemi. Szczególnie pięknie w mirażu wydają się słupy kurzawy wznoszące się pionowo, wirujące na miejscu lub majestatycznie posuwające się w pustyni. Słupy te często dochodzą do niezwykłej wysokości i także objęte mirażem, zdają się być olbrzymiemi trąbami morskiemi. Kilka razy zdarzyło mi się widzieć drzewa majakowe jakby osypane krociami dyamentów, albo mające zamiast liści różnej wielkości zwierciadełka, które się chwiejąc, rażąco odstrzeliwały blask słońca. Czy się domyślicie, kto ten bogacz, rzucający tyle skarbów na listki bylicy i ostów? Drobny biały ślimaczek, który w czasie upałów zaskorupiwszy się na gałązkach roślin, jakby śnieżnemi kiściami kwiatów pokrywa je całkiem, opuszcza je w nocy, a na miejscu, które zajmował, zostawia zaschłą ślinę metalicznego połysku.

Któż sobie z czytelników nie przypomina, jak te majaki, kłamiące jeziora, drzewa, wyspy, rzucone na pustynię, starą ziemię próżni i milczenia, jak ją Hiob nazywa, zwodziły boleśnie w Egipcie bohaterskie zastępy Rzeczypospolitej francuskiej, zmęczone gorącem, upadające od pragnienia. Straszne jest pragnienie na pustyni — woda to życie! Woda! woda! wołał, z radością żołnierz, dobywał reszty sił, biegł zwilżyć spiekłe usta i palące się od znoju czoło... Marsz! marsz! jeszcze trudu pół godziny, godzina, i koniec męce — oto woda, drzewa czekają nas z ochłodą i cieniem. — I raźniej posunęły się kolumny.. idą, idą... jeziora, wyspy, drzewa oddalają się, zmieniają postać — nikną, — z rozpaczą zatrzymuje się stopa na czerwonym rozpalonym piasku, — a piersi zgniecione ciężarem rozwalonej pewności, resztą oddechu żebrzą miłosierdzia, wody! Wody? Patrz oto znowu za zwierciedliła się jasna szyba, obrzeżona wysmukłemi palmami i wierzbą babilońską, której długie, w dół spadające gałązki tak się rozkosznie kąpią we fali! Smutnie posuwa się zastęp... ale już bez nadziei! Dla podróżnego obznajomionego z majakami, mającego zapas wody ze sobą, dążącego do pewnego etapu — zjawisko to prawdziwie wspaniałe, nie ma tej strasznej ironii, która dobija wycieńczone siły upałem i pragnieniem, przeciwnie, ożywia straszną próżnię i przytłoczoną nicestwem wyobraźnię, wyrywa ze smutku i w czarodziejskie przesiedla ją okolice. Wśród majestatycznych krajobrazów, napiętnowanych powagą spokoju, kroczyłem nieraz przez pustynię kołysany mierzonym, rytmowym chodem powolnego wielbłąda karawany. Podczas kiedy źrenica z ciekawością przebiegała wszystkie szczegóły piękności czarodziejskiego malowidła, dusza oderwana od ziemi, w swoim świecie, gubiła się w również pięknych bogatszych majakach. Gdy wieczorem w gościnnym beduina namiocie zasiadłem, nigdy nie zdawało mi się, że dzień mej podróży był długim i nudnym; nie czułem, że za mną została pustynia, że przedemną jutro leży pustynia. Zachwycony nieraz pięknością i cudowną harmonią rysunku, myślałem, że to Bóg, przed *czasem*, tym największym najwytrwalszym pracownikiem swoim, wypowiada swe pomysły, i aby zrozumiał go, kreśli mu mistrzowską ręką. co i jak ma kiedyś wykonać. Geolog, który uczy się poznawać głoski, któremi pan napisał: *stań się*, i składając je poczyna sylabizować, i odgadywać koleje, przez jakie ziemia przechodziła w pracowni arcymistrza, rozśmieje się z myśli mojej, ale czy mi dowiedzie, że pustynia, o której przekonał się, że nie zawsze była pustynią, będzie nią do skończenia świata? Nie w czasie to upałów i bez chmurnego nieba straszną jest pu-

stynia dla oka i duszy — ale wtedy, gdy z chmur zda się tuż nad głową wiszących, sypie się cicho bez najmniejszego szeptu, deszcz jako mgła drobny, a nie ścieśniający jak ona widnokręgu — ale przeciwnie zdający się go odpychać w nieskończoność — jakby umyślnie, aby oko z przerażeniem widziało tylko wielką, nieskończoną płachtę szarego kiru nad sobą i pod sobą... gdy wszelkie życie z tego niezmierzonego okiem cmentarza uciekło, — i nie ma nawet szarańczy, owego hałaśliwego grajka upałów, coby przerwał grobową ciszę — gdy po ziemi, zdaje się od Boga przeklętej i opuszczonej, ten nawet wicher, który w szalony porywa taniec poważne morze, bałwani je i grzmiące pcha do szturmu na struchlałe brzegi, ten nawet wicher, smutnie wyjąc, pędzi i jakby przerażony ucieka z pustyni, wtenczas to ona prawdziwie jest straszną — wtenczas to ona jest starą ziemią próżni i milczenia! Biedny wygnańcze! obyś się na niej nie znalazł nigdy samotny, bo taka pustynia, to bez serca rozbójnik, który ci resztę nadziei, w głębi gdzieś serca zapomnianej, wyszuka i wydrze! Nie! to nieprawda! spotkał mnie i taki rozbójnik i nie był silniejszym od wrogów twoich, ojczyzno moja! Nie mógł mi wydrzeć nadziei w Pana i twoje zmartwychwstanie. (C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

Trzecie i czwarte piętro jednakowe. U każdego rogu stoją silne filary kwadratowe przyoblecione w barwny marmur. One dźwigają płaskie belkowanie, które bogatym fryzem każde piętro kończy. Po środku między filarami, z każdej strony koronka niewidzianie cienkich a lotnych, kręconych filarów i ostrołuczków, pędząca cały gmach czarodziejsko ku górze.

Jakkolwiek bogato dzierzgane owe ściany, łatwo ich ozdoby ująć okiem. Na każdej ścianie stoją dwa okna gotyckie sparte o wiązanki kolumn cieniutkich; podobnież cienkie, nieujęte cacka kolumn, przepoławiają każde z okien przypierających do siebie, a dwa barwne gzymsiki ostrokątne stoją nad każdym ostrołukiem. Otóż proste są środki, za pomocą których stworzył Giotto rusałczane życie pędzące do góry, w którem się podziwia i lotność linii i zręczność kamieniarzy. Lot każdego piętra dosięga celu w bogatym poziomym gzymsie, a piątro najwyższe, najsmuklejsze i najwspanialsze godnie kończy budowę. I tu stanęły cztery boczne filary; jedno filary dwakroć wyższe. Na każdej ścianie między filarami stanęło jedno tylko ogromne okno gotyckie, przez dwie kręcone cieniutkie kolumny na trzy części podzielone. Nad niem możniejszy gzyms ostrokątny, i potężniejszy poziomy fryz kończą spokojnie uroczą budowę.

Wieża ta przedewszystkiem wdzięczną, katedra potężną. Mimo to widać i na jednej i na drugiej cechy ducha florentyńskiego. Barwy tu niezbyt jaskrawe, gzymsy uwydatniają jasne i łatwo przejrzane części architektury, życie wszędzie bardzo uduchownione i prędzej silne jak mnogie. Wreszcie tak Arnolfo, jak Giotto i Bruneleschi chcieli wprawdzie rozum zadziwić, ale nigdy go nie gorszyli. Hardość sklepień katedry, lotność kolumn chrzcielnicy, wywołuje okrzyk u widza, a jednak każdy widzi, że filary i łuki katedry udźwigną jej arcypotężną kopułę, i że lotna wieża ma u rogów słupy, co zapewniają jej trwanie. Wszędzie umiejętna myśl i zręczność budowniczych wysuwają się na pierwszy plan przymawiając do naszych rozumów. Dzwonnica stanęła tu przy nie wykonanej fasadzie. Przed bramą stanęła ośmiokątna chrzcielnica, pokryta ośmiokątnym również, płaskim marmurowym dachem. Jedyną jej ozdobą na zewnątrz — marmury i gzymsy, na wewnątrz mozaiki. Budynek to najdawniejszy i pozbawiony jeszcze cech florentyńskiej i toskańskiej nawet sztuki. Dokoła niepoczesne kamienice szpecą plac, i nigdzie nie można wszystkich gmachów z bliska okiem ująć.

Widzieliśmy jak *della Quercia* dwa różne style kościelne próbował w Sienie. Nie zadziwi nas tedy to, że *Bruneleschi*, ów *Bruneleschi* co powziął najzuchwalszą myśl toskańskiego gotycyzmu, myśl wielokrotnie w Toskanie powtórzoną, wystawił także pierwszy kościół w stylu odrodzenia. Mamy na myśli kościół *San Spirito*, na którym skończymy rzecz o kościelnem budownictwie Toskany. I o niem nie będziemy prawić nadto długo.

Rozumny Bruneleschi miał polecone sobie stawianie kościoła średnich rozmiarów i wiedział, że w nim nie zdoła już rozwinąć ostrołuków do tej potęgi, co w *Santa Maria dei Fiori*, bo tak Włosi nazywają katedrę florentyńską. Chcąc tedy inne równie silne wywołać wrażenie, przedsięwziął powrócić do bardziej namacalnego i mnogiego życia budowli romańskich. I tu kościół ma kształt zwyczajnego, czyli łacińskiego krzyża, nad którego środkiem wznosi się kopuła niewielka. Budowa, podobnie jak w św. Maryi Kwietnej, podzielona na pięć kondygnacyi za pomocą bronzowych gzymsów, odbijających od bielonego tła. Tylko tu wszystko, a zwłaszcza kopuła, o wiele drobniejsze. W każdem ramieniu krzyża istnieją trzy nawy, z których środkowa i wyższa i szersza, a sklepienia sparte o kolumnady korynckie nieżłóbkowane, które nawy rozdzielając od siebie, drugi mniejszy krzyż tworzą we wnętrzu kościoła. Nad kolumnami roi się mnogi lud łuczków. Słowem zmartwychwstał świat romański, tylko że tu ponury, bez pozłoty i marmurów, i że bielone sklepienia opierają się o brunatne kolumny i łuki.

Odrodzenie zaczyna się w Toskanie z dziełami Bruneleschego. Mistrz nie szukał w starożytności swoich wzorów; kopułę swoją postawił idąc za myślami gotycyzmu, a kościół św. Ducha, pozbawiony na zewnątrz wszelkich ozdób, jest na wewnątrz romański. Mimo to, w dziełach owego odrodzenia widoczne zbliżenie się do starożytności; nie zależy ono na używaniu szczegółów i formułek klasycznych, bo tych nigdy w Toskanie nie porzucono, bo one się odzywają nawet w fantastycznej Sienie, a milkną właśnie w św. Maryi Kwietnej. Nie zależy na porzuceniu zdobyczy średniowiecznych w perspektywicznym i konsekwentnym układzie różnych części gmachu, bo te wydoskonalono we Florencyi; nie zależy nawet na porzuceniu symboliki chrześcijańskiej, bo tą się zawsze posługiwano. Rozum tylko budowniczych florentyńskich zbliża ich do starożytności. Zarzucili fantastyczność i złudność średniowieczną i z grecka wywoływali największe wrażenie za pomocą prawdy architektonicznej. Na zewnątrz tylko nie zarzucili raz obranej drogi, i tylko różnobarwnymi marmurami zdobili puste i jednostajne ściany. Nawet i fasady straciły wszelkie własne życie, i stały się tylko polem popisu dla barwnych głazów.

Świecka architektura odegrała w Toskanie wcale niepodrzędną rolę, i w niej to może najwcześniej wystąpił na jaw charakter logiczny i rozumowy odrodzenia. Symbolika kościołów nie mogła się w niej przyjąć, a linie okrągłe nadawały odrazu florentyńskim pałacom niby klasyczne pozory.

Protoplastą ich jest przez znanego nam już Arnolfa del Cambio wystawiony ratusz czyli „*Palazzo Vecchio*“ we Florencyi. Na zewnątrz znać na nim fantastyczność średnich wieków, na wewnątrz występuje już na jaw odrodzenie, a gotyckiej symboliki nie ma nigdzie.

Ratusz ten stoi na *Piazza della Signoria* — wcale nie opodal od katedry, wśród mnogich posągów, o których potem będzie mowa. Jestto zamek z szarego ciosu, o wielkiej ciemnej bramie, potężnych fundamentach, i nieregularnych okienkach, co z rzadka jakby wstrzelnicy występują z niewidzianie grubego szarego muru. Gmach ma trzy piętra, a wielki ciężki gzyms pełen strzelnic i murków zwisł fantastycznie nad najwyższem piętrem. Tu widać mnogie łuczki, które się pochyliły ukośno wystając z muru, jakby mnogie ramiona, dźwigając mur szary i szczerbaty. Widać tu gwałtowne wysilenie kamieni, co zbrojną koronę szarego zamczyska utrzymują zawieszoną w powietrzu. Gdzieś, nieregularnie, z pośrodka tej korony, strzela bardzo wysoko czworograniasta wieża, u której szczytu, w chmurach już powtórzone kamienne zuchwalstwo. Baszta szczerbata, forteca groźna, szersza o wiele od wieży, podtrzymana w powietrzu, przez tęgie ukośne podpory, na złość prawom ciężkości, którym wieża ta urąga tak śmiało jak chyba łuki, które tenże Arnolfo dźwignął w katedrze. I tu, i tam mistrz chciał pokazać siłę, ale w kościele ubrał ją w szaty symboliki, a tu rzucił jakby zuchwałe wezwanie prawom ciężkości i zwykłym regułom ostrożnego budownictwa.

Ratusz ów jest nadzwyczaj malowniczym. Malowniczości w sztuce nie znali starożytni. Ona panuje wszędzie w naturze. Malowniczymi są wszystkie lasy ręką ludzką w linie nieujęte, wszystkie rzeki, co sobie drogę samowolnie wyryły wśród twardego łożyska. Malowniczą walka chmur ze słońcem. Malowniczość jestto pewien nieład, w którym mnogie kontrasta świadczą o wielkuistej pracy natury, nie trzymającej się żadnych form przyjętych. Dla tego i ruiny, w których przyroda dzieło ludzkie psuje, posiadają ten rodzaj piękna, któremu nie brak i na grozie. Bo któż nie zadrży przed widomą ręką możnej bogini konieczności?

Otóż zdaje się, że to ona, a nie człowiek, dźwignęła ów ratusz. Nic tu nie ujęte symetryą, wszystko wyrasta bujnie i nieregularnie — a jednak pięknie — bo potężnie i bez śladów wstrętnego rozkładu śmierci. Zda się, że to jakieś tylko na poły ludzkie, olbrzymie istoty, wojenne a nieświadome siebie budowały. Kamienie wszystkie stanęły tam, gdzie stoją, zmuszone zaklęciem. Cios każdy szorstki, jakby dotąd nie był wyszedł z łona matki ziemi, wyraźnie od innych odgraniczony, żyje własnem, niedoskonałem, fantastycznem, ale potężnem życiem. Siły, które gmach do nieba dźwignęły, widome i wyraźne, ale fantastyczny gmach wyrósł jakby samowolnie. Jest owocem demonicznego kaprysu, ale rozum widzi,

że demoni wiedzieli, gdzie jaki głaz potrzebny, i co dźwignąć może.

Wewnątrz mniejsza już groza, a na dziedzińcu demoniczne siły przybrały na twarz swą uśmiech, bo tu całe pierwsze piętro otoczone arkadami romańskiemi, tworzącemi portyk pod wyższemi piątrami. Każdy łuk spoczął na ośmiokątnej silnej kolumnie, okrytej od stóp do głów wdzięcznemi arabeskami. Takich słupów nie znała starożytność, a one jednak przywodzą na myśl klasycyzm, bo tu nie masz fantastycznych wysiłków, bo tu wszystkie siły zastosowane do swego zadania.

Po Arnolfie, i po *Giott*'cie, a przed Bruneleschim żył *Orcagna*. On to w pierwszych latach piętnastego stulecia postawił tuż przy ratuszu *Loggię dei Lanzi* najwspanialszy portyk w Toskanie, w którym odrodzenie już wyraźnie występuje.

Tu dwie ściany jednostajne, oparte o sąsiednie gmachy ubrane czarnym od wieków, a starannie wygładzonym ciosem. Dwie inne ściany, ułożone w łuki, uzupełnia podłużny czworobok. W jednej widać cztery łuki krągłe, oparte o ośmiokątne słupy — a ostatnią ścianę zastępuje jeden tylko łuk podobny. Filary szare, smukłe, zdobne w głębokie żłóbki ostrokątne. Wieńce liści dębowych tworzą poniżej łuków jakby głowice, a grube żyły ciosowe tworzą na sklepieniu wnętrza trójkąty, podobne do tych, któreśmy oglądali w katedrze syeńskiej. Całość wzniesiona nad poziom, a dostępna tylko przez szerokie szare schody, robi wrażenie groźnego pokoju i lotnej siły. Widać tu jak w katedrze trzeźwe, możne, spokojne, ponure, groźne, duchowne życie. Ono to wyszło niezadługo jeszcze potężniej z rąk *Bruneleschiego* w *Palazzo Pitti*, w owym gmachu co wraz z kopułą katedry czyni imię ostatniego Toskany budowniczego głośniejszem od nazwisk wszystkich jego poprzedników.

Palazzo Pitti jakby wcieleniem toskańskiego odrodzenia. Ma on dwie twarze. Dla ulicy jest okazałym a ponurym, dla mieszkańców mniej potężnym a milszym.

Pałac Pitti jest bardzo efektowny, to jest uderza każdego od razu niezwykłą swoją postacią. Nie ogromem, bo ogrom ów nie narzuca się widzowi, i nie mnóstwem ozdób, jedno właśnie ich brakiem zadziwia. Pałac, z toskańska z szarego groźnego ciosu wystawiony, dał się ująć w ład i przeniknąć myślą odrodzenia. Składa się z dwu ciosowych piątr, a piętra wyrosły niby z opoki. Pałac stoi na wywyższeniu, a niezmierne, widoczne, nieogładzone ciosy dołu tworzą jakby skałę wyszłą z ziemi. Ozdób żadnych nie ma w tym dole. Tylko trzy bramy rozwarły krągłe swe łuki, i tylko dwie piękne lwie głowy trzymają między bramami w paszczach żelazne obręcze.

Dwa pod prostym kątem wystające skrzydła przedłużają front ku przodowi, a dźwigają się nad pochyły poziom za pomocą zupełnie nieobrobionych ciosów. Oba piętra powstały z długiego rzędu ciosowych łuków o muzykalnych proporcyach, a wielkiej sile filarów. Drugie piętro krótsze, lżej się spina nad środkiem pierwszego.

Tu po raz pierwszy stał się łuk tak organicznym jak grecka kolumna. Pałac ów przemocny spowiada się wszystkim z tajemnic swojej budowy. Widać każdy cios, i każdy cios tu istotą. Układają się spokojnie w filarach, promienieją hardo nad łukami węższe u dołu a szersze u góry. Łuki pojedyńcze do połowy zamurowane, a do połowy zaszklone tworzą okna. Zdaje się, że demoniczne siły przyrody i ów gmach wystawiły. Ale one tu działały z myślą, i podobne przeto do Boga, co zamieszkał pod kopułą w katedrze. Nie o wiele tedy mniejsza groza wieje z tego pałacu, co stał się toskańskich pałaców wzorem.

Bruneleschi postawił tylko front pałacowy. Wewnętrzny dziedziniec wybudował w sto kilkadziesiąt lat *Ammanati*; nie już podług tradycyi toskańskiej, ale naśladując rzymskie pałace, o których później będzie mowa.

II.

Rinaldo, Buschetto, Distisalvi, Bonano, della Quercia, Arnolfo del Cambio, Giotto, Orcagna i Bruneleschi, oto chronologicznym porządkiem wymienieni mistrze, którzy w Toskanie wielkie gmachy podźwignęli. Z nich Rinaldo, della Quercia i Bruneleschi odznaczyli się twórczym zmysłem w budownictwie. Dwaj inni znów, *Giotto* i *Orcagna* choć świetne, jednak drugorzędne miejsce zajęli wśród budowniczych, nie pchnąwszy sztuki na nowe tory, a byli twórcami w innym kunszcie, bo w malarstwie.

W chrześcijańskich krajach stanęło malarstwo wyżej od rzeźbiarstwa, i znalazło więcej miłośników. Kościół długo nie dowierzał rzeźbionym posągom i tylko obrazy cierpiał u siebie, sądząc, że mniej cielesne, nie tak łatwo pobudzą do bałwochwalstwa, a ustrój duchowny, który lubował się w cudowności, i w nienamacalnej architektonicznej matematyce, musiał malarstwo przekładać nad sztukę Fidyaszową. Widzimy już też w Pizie i w chrzcielnicy florentyńskiej, jak mozaiki, a więc rodzaj malowideł, tworzyły, że tak powiem, organiczną część najdawniejszych kościołów, i jak dopiero malowane postacie myśl budowniczych do reszty uwydatniały. (C. d. n.)

A TO MI SIĘ ZDARZYŁO.

— Wiesz co kochana żono,
Że to wytrzymać trudno;
Nigdzie nie zamieciono,
Wszędzie nieład i brudno...
— Oho! znowu morały!
Będzie gderał dzień cały!
Jakby też o co było!
Straszne rzeczy się stały!
Że się tam raz zdarzyło!

— Ależ moja kochana,
Przypomnij tylko sobie
Wizytę pana Jana.
W sali, Staś marchew skrobie,
Na progu dwa szafliki,
Miska, trzewik Moniki,
Woda co się w niej myło,
Na drzwiach brudne ręczniki...
— No, to się raz zdarzyło!

— A przypominasz duszko
Owo miłe zdarzenie,
Jak Edzio wlazł pod łóżko,
I przy pannie Helenie,
Wyciągnął ztamtąd pierze,
Niepomyte talerze,
Jakąś gruszkę nadgniłą,
Doprawdy aż wstyd bierze...
— No, to się raz zdarzyło!

— Albo te nasze dzieci,
Obdarte, rozczochrane,
Brud się na nich aż świeci;
Toż to skonstatowane
Że raz, nie wiem kto taki,
Dawał im dwa trojaki;
Żal mu się ich zrobiło;
Myślał że to żebraki...
— No, to się raz zdarzyło!

— Ależ moje kochanie,
Nie to, to co innego;
Ze służbą zamięszanie
Że aż coś okropnego.
Wiecznie cię o coś proszą,
To wnoszą, to wynoszą,
To się tam coś rozbiło,
A wypadeczek z broszą?
— No, to się raz zdarzyło!

— Ależ gdzie tam raz — zawsze...
Zdaje mi się ktoś dzwoni...
— O nieba najłaskawsze!
To pewnie pan Antoni!
A tam w sali pierzyna!
Nie otwieraj! Regina!
Gdzie są klucze! To miło!
Na biurku cielęcina!
A to mi się zdarzyło!

M. Rodoć.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Dokończenie).

XXI.

Zaślubiny Nelly.

Przed rozejściem się raz jeszcze zgodzono się na to, że mieszkańcy folwarku więcej niż kiedykolwiek powinni się mieć na ostrożności. Zbyt wyraźną była groźba Silfaxa, aby można było nie zważać na nią; prócz tego zachodziło jeszcze pytanie, czy stary pustelnik nie rozporządza jakimi strasznymi środkami, za pomocą których mógłby zniszczyć całą kopalnię.

Uzbrojone straże rozstawione zostały w rozmaitych punktach podziemi, z obowiązkiem czuwania dniem i nocą. Każdy obcy, przybywający do kopalni, przyprowadzany był przed inżyniera Starr, dla sprawdzenia tożsamości osoby. Nie lękano się już teraz uprzedzić wszystkich mieszkańców Coal-City o zagrażającem im niebezpieczeństwie; Silfax nie miał z nikim żadnych stosunków, nie zachodziła przeto obawa zdrady. Nelly wiedziała o wszystkich przedsiębranych środkach ostrożności, a chociaż nie wydawały się jej one zupełnie wystarczającymi, uspokoiła się cokolwiek. Najbardziej jednak postanowienie niezłomne Henryka, że towarzyszyć jej będzie, gdziebądź by się udała — skłoniło ją do wyrzeczenia się zamiarów ucieczki

Ostatni tydzień przed ślubem Nelly i Henryka przeszedł bez żadnego wypadku. Górnicy też, zachowując ciągle wymagane z ich strony środki ostrożności, ochłonęli cokolwiek z panicznego przestrachu, który zagrażał przerwaniem eksploatacyi.

Pomimo to, James Starr nie przestawał śledzić starego Silfaxa. Wobec groźby mściwego szaleńca, że Nelly nie zaślubi nigdy Henryka, należało przypuszczać, że nie cofnie się on przed niczem, byle tylko przeszkodzić zawarciu małżeństwa. Najbezpieczniej byłoby owładnąć jego osobą z zachowaniem mu życia. Dla dopięcia tego celu rozpoczęto na nowo najściślejsze poszukiwania w Nowej Aberfoyle. Zbadano wszystkie najmniej-

sze i najtajniejsze chodniki i galerye; szukano go nawet w wyższych kondygnacyach, dotykających do zwalisk zamku Dundonal, gdyż z wszelkiem prawdopodobieństwem wnioskowano, że tą drogą stary Silfax wydostawał się na zewnątrz, dla zaopatrywania się w żywność i inne niezbędne mu przedmioty, czy to za pomocą kupna, czy też w inny sposób. Co do pojawiania się *Dziewic ognia*, zrozumiał teraz inżynier, że Silfax zapalał wydobywające się w tem miejscu gazy, wywołując przez to zjawiska, wzbudzające przestrach w całej okolicy. Pod tym jednym względem nie mylił się— ale Silfaxa i śladów nawet nie odszukano.

Przez cały czas nieustannej tej walki z niewidzialnym wrogiem, inżynier, jakkolwiek nie okazywał tego po sobie, był najnieszczęśliwszym z ludzi. W miarę zbliżania się dnia ślubu, czując że obawy jego wzrastają z każdą chwilą, uważał za swój obowiązek zwierzyć się z nich staremu obermanowi, który niebawem zaniepokoił się bardziej jeszcze od niego.

Nadszedł nareszcie ów dzień uroczysty.

Silfax nie dał najmniejszego znaku życia.

Od świtu samego cała ludność Coal-City znajdowała się na nogach. Roboty w Nowej Aberfoyle zostały przerwane. Zarówno urzędnicy jak i górnicy pragnęli w dniu tym uczcić starego obermana i jego syna; poczytywali to oni za prosty obowiązek wdzięczności względem dwóch tych odważnych i wytrwałych ludzi, którzy przywrócili kopalni dawną jej świetność i powodzenie.

Obrzęd ślubny miał się odbyć w kaplicy św. Idziego, wznoszącej się, jak wiadomo, nad brzegiem jeziora Malcolm.

O godzinie jedenastej rano ujrzano wychodzących z folwarku Henryka, prowadzonego przez matkę, i Nelly, wspierającą się na ramieniu Szymona.

Za nimi postępowali, inżynier Starr, spokojny pozornie, ale w głębi duszy przewidujący najstraszliwszą katastrofę, i Jakób Ryan, przybrany w okazały strój swojego klanu.

Dalej szli inni inżynierowie kopalni, znakomitsze osoby z Coal-City, przyjaciele i koledzy starego obermana, cała wreszcie wielka rodzina górników, składająca wyłączną ludność Nowej Aberfoyle.

Na zewnątrz był to jeden z owych dusznych dni sierpniowych, tak przykrych zwłaszcza w krajach północnych. Powietrze ciężkie, jak przed burzą, wdzierało się aż do głębin kopalni, gdzie temperatura podniosła się znacznie po nad wysokość normalną.

Zauważano przytem nader rzadkie zjawisko, że w Coal-City barometr opadł bardzo nisko... Miałożby to być zapowiedzią, że burza wybuchnie pod wysokiemi sklepieniami olbrzymiej krypty?...

Sprawiedliwość jednak każe przyznać, że nikt nie zwracał uwagi na te atmosferyczne groźby.

Rozumie się samo przez się, że wszyscy biorący udział w ceremonii przywdziali na siebie najpiękniejsze swe szaty.

Madge miała na sobie kostium, przypominający dawne dobre czasy. Na głowie tok poważnej matrony z poprzedniego stulecia, na ramionach zaś „rokelay," pewien rodzaj mantyli używanej przez szkockie elegantki.

Nelly postanowiła niczem nie zdradzić niepokojących ją myśli. Sercu swemu nakazała, aby bić przestało, dręczące przeczucia uwięziła w najtajniejszych kryjówkach duszy, i odważnemu dziecku powiodło się ukazać całemu zgromadzeniu z twarzą spokojną i pełną poważnego nastroju.

Ubraną była skromnie, a skromny ten ubiór, który przeniosła nad kosztowne stroje, tem więcej dodawał uroku wrodzonym jej wdziękom. We włosach tylko miała „snood," różnobarwną wstążkę, jaką zwykle przystrajają się młode Szkotki.

Szymon Ford przywdział ubiór, któregoby nie powstydził się zapewne Nichol Jarvie, zacny baili z Walterskota.

Całe towarzystwo udało się w kierunku kaplicy, przybranej z wielką okazałością.

Na sklepieniach Coal-City tarcze elektryczne, podsycane silniejszym niż zwykle prądem, rzucały słoneczne prawie promienie. Cała Nowa Aberfoyle po raz pierwszy zdawała się światłem dziennem oddychać.

W kaplicy błyszczały również lampy elektryczne, a różnokolorowe szyby mieniły się, jakby ogniste szkiełka w kalejdoskopie.

Wielebny Wiliam Hobson, mający dokonać ceremonii, oczekiwał na młodą parę we drzwiach kaplicy.

Uroczysty orszak zbliżał się, okrążywszy poprzednio wybrzeża jeziora Malcolm.

W tej chwili zagrzmiały organy, a dwie pierwsze pary, poprzedzane przez wielebnego Hobsona, podeszły do ołtarza św. Idziego. Niebawem cała kaplica została przepełnioną. Inni, którzy nie mogli się pomieścić, zostali nad brzegiem jeziora, przed otwartemi drzwiami świątyni.

Po modlitwie o błogosławieństwo niebios dla całego zgromadzenia, tylko Henryk i Nelly pozostali u stóp ołtarza, przed kapłanem trzymającym świętą księgę w ręku.

— Henryku — zapytał wielebny Hobson — czy masz dobrą a nie przymuszoną wolę, obecną tu Helenę, za małżonkę sobie pojąć?

— Mam.

— Ślubujesz jej miłość, wiarę i uczciwość małżeńską?

— Ślubuję — odpowiedział młodzieniec silnym głosem.

Kapłan zwrócił się do panny młodej:

— A ty, Heleno, czy masz dobrą a nie przymuszoną wolę, obecnego tu Henryka, za małżonka sobie pojąć?

Nelly nie zdążyła jeszcze odpowiedzieć, kiedy niezmierna wrzawa i okrzyki przerażenia rozległy się zewnątrz świątyni.

Jedna ze skał olbrzymich, tworząca taras zawieszony po nad jeziorem o sto kroków od kaplicy, zawaliła się nagle, bez żadnego wybuchu, jak gdyby upadek ten oddawna był przygotowany. W miejscu zawalonej skały, ukazała się bezdenna przepaść, o istnieniu której nikt nie wiedział, a w którą stoczyły się z łoskotem niezmierne masy wody.

A potem, z pośród skał rozszarpanych, ukazało się niewielkie czółno, i silną kierowane dłonią, popłynęło ku środkowi jeziora.

W czółnie stał wyprostowany starzec w ciemnym kaftanie, z włosami w nieładzie, z długą siwą brodą opadającą mu na piersi.

Trzymał w ręku lampę Davy'ego, gorejący płomień której zasłonięty był ochraniającem płótnem metalicznem przyrządu.

Jednocześnie z ukazaniem się swojem, starzec zawołał silnym, donośnym głosem:

— Biada wam! biada wam wszystkim! biada!

W powietrzu dał się uczuć mocny zapach, zdradzający istnienie w niem wielkiej ilości gazu błotnego.

Prawdopodobnie, wskutek zawalenia się skały, masy gazu nagromadzonego przez długie lata w zamkniętej pieczarze, wydobywały się teraz na zewnątrz. Prądy zapalnych substancyi pięły się ku sklepieniom. krypty pod ciśnieniem, co najmniej, pięciu do sześciu atmosfer.

Silfax wiedział o istnieniu tego niebezpiecznego zbiornika, z rozmysłem też spowodował załamanie się skały, aby po napełnieniu kopalni zapalnym gazem, wywołać groźną eksplozyę.

Tymczasem, na odgłos podniesionej wrzawy, James Starr i inni inżynierowie, wybiegli z kaplicy.

— Uciekajcie! uciekajcie z kopalni! — wołał Starr, pojmując całą grozę niebezpieczeństwa.

— Biada wam! biada! — powtarzał starzec, posuwając się coraz dalej na wątłem swem czółenku.

Na progu kaplicy ukazał się Henryk, uprowadzający swą narzeczonę i rodziców.

— Uciekajcie z kopalni! uciekajcie! — krzyknął powtórnie inżynier.

Ale już zapóźno było uciekać! Stary Silfax gotów już był spełnić ostatnią swą groźbę i przeszkodzić małżeństwu Nelly z Henrykiem grzebiąc ich wraz ze wszystkimi mieszkańcami Coal-City pod gruzami kopalni.

Po nad głową starca krążył w powietrzu olbrzymi puhacz, białe pierze którego czarnemi upstrzone było plamami.

Wówczas jeden z obecnych rzucił się do jeziora i silnie zaczął płynąć w kierunku czółna.

Był to Jakób Ryan. Usiłował on dotrzeć aż do szaleńca, aby przeszkodzić mu w dokonaniu dzieła zniszczenia.

Ale Silfax spostrzegł go. Rozbił swoją lampę, i wyrwanym z niej palącym się knotem zaczął machać w powietrzu.

Śmiertelna cisza zapanowała pomiędzy zdrętwiałymi z przestrachu świadkami tej sceny. Inżynier, zrezygnowany na wszystko, dziwił się już tylko, że nieunikniona eksplozya dotąd nie nastąpiła.

Silfax, którego rysy nacechowane były wściekłością, odgadł niebawem, że gaz błotny, zbyt lekki, aby utrzymać się w niższych przestworzach, skupionym być musi pod sklepieniami.

Natenczas na znak dany przez swojego pana, puhacz spuścił się ku niemu i uchwyciwszy w szpony gorejący ciągle lont podpalacza, jak to czynił dawniej w komorze Dochart, wzbił się w powietrze, zmierzając pod wysokie sklepienia wskazywane mu ręką starca.

Jeszcze sekund kilka, a z bogatej kopalni już tylko samo wspomnienie pozostanie!...

W tej chwili, Nelly wyrwała się z objęć Henryka.

Spokojna a zarazem jakby natchniona, zbiegła na sam brzeg jeziora.

— Puhaczu! — zawołała czystym głosem— puhaczu! pójdź tu, pójdź do mnie!

Wierny ptak, zadziwiony, powstrzymał się w locie, wahając się, kogo ma słuchać. Ale nagle, poznawszy pieszczotliwy głos swojej panienki, wypuścił knot ze szponów i gdy ten tonął w nurtach jeziora, sam zatoczywszy wielkie koło, legł potulnie u nóg dziewczęcia.

Ogień nie dosięgnął jeszcze wysokości, w której nagromadzone były gazy. Nowa Aberfoyle ocalona!...

Ale w tejże chwili przeraźliwy okrzyk obił

się o ściany krypty. Był to ostatni jęk starego Silfaxa.

Jednocześnie gdy Jakób Ryan chwytał już ręką za czółno, starzec widząc zawiedzione nadzieje swej zemsty, rzucił się w bezdeń jeziora.

— Ratujcie go! ratujcie! — krzyknęła rozpaczliwym głosem Nelly.

Henryk usłyszał ją i bez namysłu skoczywszy do wody, kilku silnymi rzutami dopłynął do miejsca, w którem znajdował się Jakób. Obaj młodzieńcy zanurzyli się kilkakrotnie do możliwej głębokości.

Ale wszelkie usiłowania ich pozostały bez skutku.

Wody jeziora Malcolm nie zwracają swych ofiar. Zamknęły się na zawsze nad starym Silfaxem.

Zakończenie.

W pół roku po opisanych powyżej wypadkach tak niespodzianie przerwana ceremonia ślubu Henryka Ford z Heleną odbyła się z niemniejszą okazałością w tej samej kaplicy św. Idziego. Po błogosławieństwie udzielonem przez wielebnego Hobsona, młodzi małżonkowie, w czarnym jeszcze stroju, powrócili na folwark.

Inżynier i Szymon Ford, wolni już teraz od wszelkich obaw, przewodniczyli wesołej uczcie, jaka nastąpiła po ceremonii kościelnej, i przeciągnęła się do następnego poranku.

Przy tak świetnej uroczystości Jakób Ryan nie zaniedbał przyczynić się do ogólnej zabawy i ku powszechnemu zadowoleniu, obsypany rzęsistemi oklaskami, grał, śpiewał i tańczył jednocześnie.

Nazajutrz w całej kopalni Aberfoyle powrócono do zwykłych zajęć pod osobistym kierunkiem inżyniera Starr.

Zbytecznem byłoby mówić o szczęściu Henryka i Nelly. Dwa te serca, tylokrotnie doświadczone, znalazły w upragnionym związku spokój i szczęście, na jakie w pełni zasługiwały.

Co się tyczy Szymona Ford, honorowego obermana Nowej Aberfoyle, obiecywał on sobie, że żyć będzie jeszcze tak długo, aby mógł obchodzić złote wesele z poczciwą swoją Madge, która jako zgodna małżonka, podzielała w tym względzie życzenia męża.

— A czemużbyście państwo nie mieli obchodzić i dyamentowego wesela? zagadnął Jakób. Jeszcze jedna ćwierć wieku więcej, nic to wielkiego dla was, panie Szymonie.

— Masz słuszność, mój chłopcze, — odparł spokojnie staruszek. — Nie byłoby to nic nadzwyczajnego w naszej poczciwej kopalni, gdzie klimat nie doznaje żadnych zmian ani gwałtownych przewrotów, jak to bywa na ziemi!

Czy mieszkańcy *Miasta węgla* będą świadkami owego dyamentowego wesela — Bogu jednemu tylko wiadomo.

To pewna, że rzadko może który ptak doczekał się tak późnego wieku, jak puhacz Silfaxa. Przebywał on ciągle w kopalniach; ale po śmierci starego szaleńca, pomimo, że Nelly usiłowała zatrzymać go przy sobie, uciekł po kilku dniach spędzonych w pobliżu dawnej swej towarzyszki. Oprócz widocznego wstrętu, jakim przejmował go widok ludzi, wstrętu odziedziczonego zapewne po dawnym swym panu, zdawało się, iż zazdrosny ten ptak czuje jakąś szczególną niechęć do Henryka, w którym poznał bezwątpienia tego, który mu porwał Nelly, i z którym tak zaciętą stoczył o nią walkę.

Odtąd ukazywał się już tylko w bardzo długich odstępach czasu, szybując po nad jeziorem Malcolm.

Czy przybywał w odwiedziny do dawnej swej przyjaciółki, czy też bystrym i przenikliwym swym wzrokiem badać chciał tajnikiki przepaści, która pochłonęła Silfaxa?

Zgodzono się na obydwa te przypuszczenia, gdyż puhacz stał się bohaterem niejednej legendy, ułożonej przez Jakóba Ryan.

Dzięki też talentowi dzielnego tego młodzieńca po dziś dzień śpiewają w Szkocyi prześliczną legendę o puhaczu starego Silfaxa, ostatniego pokutnika w kopalni Aberfoyle.

Koniec.

Piśmiennictwo polskie.

(*Jak spełnić można cud pożądany całkiem naturalnymi środkami. Głos jednostki interesowanej, ale bez wszelkich kastowych uprzedzeń, bo nienależącej wyłącznie do żadnego w narodzie stronnictwa i nieuwzględniającej też żadnego prócz wspólności dążenia otwarcie i prostemi drogami do wszechnarodowej pomyślności. Rzeszów. Nakład autora. Czcionkami J. A. Pelara. 1876.*)

Tytuł — jak widzimy — pretensyonalny i trochę bałamutny; odbija się to po części i w samej broszurce. Pomijając jednak tę wadę, broszurkę zaleca poczciwa dążność, dążność, na którą szczególny kładziemy nacisk w naszem pismie, a jest nią zwrócenie pracy społecznej ku zupełnemu zespoleniu sprawy ludowej z narodową. Cud pożądany — o którym autorka mówi — jest to znane godło Zygmunta Krasińskiego: „Z szlachtą polską, polski lud!“ Z naszego stanowiska — co prawda — wolimy, ażeby naród polski nie zawierał w sobie żadnych kastowych przedziałów.

Dla skutecznej pracy nad ludem radzi autorka (p. Julia Goczałkowska) zawiązywanie w tym celu towarzystwa w każdej okolicy po dworach wiejskich i małych miasteczkach. Towarzystwa te opiekowałyby się oświatą i moralnością ludu, a oraz wspierałyby rozwój miejscowego przemysłu. Bardzo słuszną daje też radę, ażeby w celu zbliżenia się do ludu szlachta miejscowa posyłała dzieci swoje do szkół ludowych. Praktyczny także jest projekt zaprowadzenia stałych czytelni po gminach i głośnego odczytywania w nich pisemek niedzielnych, któreby podawały w streszczeniu główne wydarzenia polityczne, wiadomości krajowe, rozprawki naukowe itd. Zaprowadzenie takich czytelni ułatwiłoby założenie dzienniczka polityczno-społecznego dla klas pracujących, potrzeba którego jest aż nadto widoczną.

Przy podnoszeniu kwestyi społecznych słyszymy nieraz od domorosłych naszych polityków zarzut, że nie potrzebujemy tych zaradczych środków, jakie okazują się być potrzebnymi na Zachodzie, ponieważ nie posiadamy jeszcze proletaryatu. Autorka jednak, którą w żadnym razie nie można posądzić o skrajne przekonania, inaczej nam tę rzecz przedstawia. Powtórzymy jej własne słowa: „Maszyny, kolej i inne wynalazki przyniosły wprawdzie wielkie korzyści i ułatwienia wyższemu przemysłowi i innym ważniejszym stosunkom ludzkim, ale zabiły, można powiedzieć, przemysł drobniejszy, ręczny, a ztąd namnożyły i biedy bez końca! Nie może mieć pojęcia, kto nie patrzył na to własnemi oczyma, jak ciężką a ukrytą nędzę napotkać można u rzemieślników po małych mieścinach, którzy to dawniej rąk własnych pracą utrzymywali siebie i swą rodzinę; dziś, gdy ich robotę zastąpiła sprowadzona ze stolicy lub i z dalsza, choć nielepsza i mniej trwała, ale gotowa i ozdobniejsza, zabrakło im zarobku; nie posiadając zaś ani jednego zagonu własnego, nie są w stanie wyżywić się ani okryć.“ (Str. 27.) W takichże ponurych barwach przedstawia i los wyrobnika na wsi.

Broszurka p. Goczałkowskiej jak i piękne opowiadania p. Zofii R. są pocieszającym objawem, że pomiędzy autorkami naszemi uwidoczniła się w ostatnich czasach zwrot ku ludowi i jego potrzebom.

Wydanie broszurki jest bardzo niestaranne pod względem błędów drukarskich. Są tam także liczne błędy i innego rodzaju, jak np. przypadkowania, które prawdopodobnie są także winą złej korekty.

B. L.

(*Piosnki i gawędy humorystyczne, napisał M. Rodoć. Zeszyt IV. Kraków, 1877.*)

Pan Rodoć obdarzył nas nowym (czwartym) zeszytem swoich Piosnek i gawęd humorystycznych. Występuje tu nowa serya śmieszności i wad ludzkich. Z tych piosnek jedne mają charakter specyficznie krakowski i żądło wyraźnie przeznaczone dla Krakowa, inne są pisane urbi et orbi. Tak np. piosnka „Niech pan jeszcze spaceruje,“ opiewająca potężny wpływ księdza Gaudentego na dewotkę, i mizerną rolę męża tej ostatniej, jest do szpiku kości krakowską, i we Lwowie słabe tylko mogłaby mieć zastosowanie. Specyalnie krakowskim typem zdaje się być także „Pan Astolf.“ Jest to pośrednik pomiędzy rajem krakowskiej arystokracyi a gawiedzią chciwą najdrobniejszych nowinek z tego raju.

Panie Astolfie! jeszcze!
Jeszcze jaka nowinka!
— Hrabia Leoś ma dreszcze,
Hrabia Pipcio ma synka,
Wczoraj o ósmej z rana,
Lokaj hrabiego Jana,
Niósł do hrabiego Edzia —
Suczkę hrabiego Fredzia.

Z piosnek ogólne mających zastosowanie niektóre znane są już czytelnikom „Tygodnia;“ są to mianowicie: „Ciężkie czasy“ i „Strasznie nienawidzę plotek.“ Równie udatną a może udatniejszą formę mają „Bezstronni krytycy,“ „To dopiero komedye“ i „Piękna polszczyzna.“ Ta ostatnia zbiera i nadzwyczaj zręcznie ustawia najważniejsze idyotyzmy językowe używane w galicyjskiej publicystyce. Tylko „Egzamen“ zupełnie się nie udał p. Rodociowi.

Sądzę, że im więcej przytoczę wyjątków z tej książeczki, tem lepiej się przysłużę czytelnikom. Oto dwie początkowe strofy „Bezstronnych krytyków.“

— Powieść. Mam być sprawozdawcą;
Autor młody, nieznajomy,
Od razu bazgrze dwa tomy.
Za pozwoleniem łaskawco!
Racz się powstrzymać w zapale!
Hultaj pisze nieźle wcale,
Gotów narobić hałasu;
Trzeba go ściągnąć z parnasu,
Powiem, że pisze *niedbale*.

— Oj! ta przeklęta broszura
Kochanego pana Piotra!
Nic nie poradzę, lichota;
Po co on się rwie do pióra?
Ten nudziarz, ten, ten, niezdara
Pisać o nim istna kara!
Poczciwiec moje powieści
Chwali, co się tylko zmieści;
Powiem, że autor się *stara*.

J. T.

Piśmiennictwo niemieckie.

(*Sturmflut. Roman von Friedrich Spielhagen. Zweite Auflage. Leipzig, 1877.*)

(*Dokończenie*).

Powieść napisana z wielkim talentem. Pełno w niej osób z rozmaitych warstw społecznych, a wszystkie wybitnymi rysami nacechowane. Takiemi są męskie postacie: jenerała Webera, przedstawiciela arystokracyi z lepszej jej strony; hr. Golma, także arystokratę, lecz gorszego gatunku; Ernesta Schmidta, przedstawiciela mieszczaństwa demokratycznego; Filipa Schmidta, jego syna, wzorek nowoczesnych spekulantów gieldowych; Andersa, rzeźbiarza o pozorach trzpiotowatych, a zacnego serca; Giraldi'ego,

*

Włocha, który niepospolity swój umysł wysila cały na czarne intrygi; takiemi są niewieście charaktery: Elzy — jasny, czysty i równy; Ferdynandy, córki Ernesta Schmidta, dumny, energiczny, namiętny. Piękną jest także Mittig (Marynia) Strumin, skora do śmiechu i łez, z lgnącem, dobrem serduszkiem, dziwaczna, ale nader sympatyczna dziewczyna. Ślepa Cilli, ulubienica wszystkich w powieści, przesuwa się po niej świetlaną smugą, jakby anioł, zesłany na ziemię, by nauczyć ludzi, jak kochać i poświęcać się należy. Nie mogę odmówić sobie tej przyjemności, ażebym nie zapoznał trochę bliżej czytelnika z nią samą i z jej ojcem, buchhalterem w fabryce Ernesta Schmidta.

Stryj Reinholda, Ernest Schmidt, zawziętym jest nieprzyjacielem socyalistów. Robotnikom na fabryce swojej zapowiedział, że nie ścierpi, ażeby którykolwiek z nich należał do jednego ze stowarzyszeń socyalistycznych, które w ostatnich czasach dość licznie pozawiązywały się były w Berlinie. Pomimo jednak tego zakazu, kilkudziesięciu robotników inaczej postąpiło. Ernest wymówił im pracę. Pociągnęło to za sobą bezrobocie, które narażało Schmidta na wielkie straty, a oprócz tego spowodowało gwałtowną i niebezpieczną dla niego scenę. Kiedy wzburzony tem zajściem Ernest rozmawiał ze swoim synowcem, chodząc wielkimi krokami po pokoju, ktoś zapukał we drzwi. „Proszę“ — zawołał Ernest. Drzwi się uchyliły, i wszedł stary Kreisel, ojciec Cilli.

— Cóż się stało, Kreisel? — zapytał Ernest. — Człowieku, jakżeś się dziwnie ustroił. Czy nie wybierasz się na pogrzeb?

Toaleta staruszka usprawiedliwiała zapytanie stryja Ernesta. Ze sztywnego kołnierza, starodawnego czarnego fraka z długiemi i kończastemi połami, zaledwie sterczała łysa główka Kreisela; za to buty jego nie mogły się schować pod krótkiemi, wytartemi, czarnemi spodniami. W ręku trzymał wysoki cylinder z bardzo wąskiemi skrzydłami przestarzałej już oddawna mody, i parę rękawiczek, których barwa z biegiem czasu tak samo spłowiała, jak kolory na małej twarzyczce staruszka. Trwożliwy i strapiony jej wyraz najzupełniej odpowiadał ubiorowi.

— Istotnie, wybieram się na pogrzeb — odpowiedział cichym i drżącym głosem.

— No, to idź sobie pan — powiedział stryj Ernest. — A czyjże to ma być pogrzeb?

— Mój.

Stryj Ernest otworzył wielkie swoje oczy i zawołał:

— Czyś oszalał, stary przyjacielu?

— Mnie się widzi, że nie — odpowiedział Kreisel — lecz chciałbym jeszcze zawczasu zaprosić.

— Na pogrzeb pański? — powtórzył stryj Ernest. — Nie jestem usposobiony do żartów Reinholdzie! zostań. No prędzej, Kreisel, co się stało, i czego chcesz odemnie?

— Dymisyi! — powiedział staruszek, wyjmując z bocznej kieszeni białą chustkę i ocierając nią łysinę, na którą wystąpiły wielkie krople potu — dymisyę tę mogę uważać jako swój pogrzeb.

— A więc każ siebie pogrzebać! — zagrzmiał stryj Ernest.

Staruszek zadrżał cały, jakby w samej rzeczy cios śmiertelny ugodził weń. Reinhold zafrasowany patrzał z niepokojem. Stryj Ernest wielkimi krokami mierzył pokój, wreszcie szybko się obrócił do małego człowieczka i, patrząc nań z góry, ze złością zawołał:

— Tak! nie ma co, bardzo pięknie z pańskiej strony! Czternaście lat pracowaliśmy razem w szczęściu i niedoli; nigdym nie powiedział żadnego szorstkiego słowa do pana, ażebym natychmiast nie przeprosił za nie, wiedziałem bowiem, że pan masz słabe nerwy, a nie chciałem nigdy zrobić żadnej przykrości ani jemu, ani jego biednej Cilli. Jeżeli nie dosyć zrobiłem dla pana, to tylko własna jego wina. Z dobrej woli podwoiłem jego utrzymanie i potroiłbym, gdybyś tylko pan powiedział: potrzebuję! Lecz nigdyś pan ust nie otworzył, i musiałem gwałtem panu wszystko narzucić. A teraz — dyabeł wie co! ja przynajmniej nic nie rozumiem!

— I nie zrozumiesz pan, panie Schmidt, jeżeli nie pozwolisz wypowiedzieć mnie swoje powody — wybełkotał buchhalter, rozpaczliwie obracając w ręku swój kapelusz.

— A więc mów pan w przytomności mego synowca; w interesach nie mam przed nim żadnej tajemnicy.

— Nie jest to żadna tajemnica, któraby dotyczyła interesów — rzekł buchhalter — jest to moja tajemnica, która oddawna cięży mnie na sercu, i którą lżej mi wypowiedzieć wobec pana kapitana, który prawdziwie szczerą życzliwość okazywał mnie i mojej córce. Panie Schmidt, muszę opuścić pana, zanim mnie sam odprawisz, jak to uczyniłeś we czwartek z trzydziestu robotnikami, i ja bowiem...

Staruszek trzymał teraz mocno kapelusz, a drżący jego głosik zabrzmiał pewnością siebie; małe jego mrugające oczka spojrzały śmiało na stryja Ernesta:

— Jestem także socyalistą!

Było to prawdziwie bohaterskie wystąpienie ze strony staruszka, i położenie jego było tragiczne. Reinhold wszakże niemal głośno się zaśmiał, kiedy stryj Ernest, zamiast zwykłym swym trybem wybuchnąć gniewem i przekleństwami, wytrzeszczył tylko oczy i tonem niezwykle spokojnym a nawet łagodnym zapytał: Czy nie jesteś pan także i komunistą?

— Uważam i komunizm w pewnych okolicznościach za uprawniony — odrzekł staruszek słabym głosem, znowu spuszczając oczy.

— Wracajże pan do mieszkania — powiedział Schmidt — i zaśnij z godzinkę, ażebyś się uspokoił ze swego wzburzenia; a gdy się ockniesz, pomyśl sobie, że ta cała historya przyśniła się tobie. Ani słowa o tem więcej, albo się rozgniewam naprawdę.

Staruszek nie śmiał się sprzeciwiać. Wychodząc, spojrzał na Reinholda, jakby chciał powiedzieć: tyś moim świadkiem, zrobiłem com powinien był uczynić.

Reinhold pochwycił stryja za rękę: Dziękuję Ci!

— Za co? żem na seryo nie wziął tego, co ten biedny stary głupiec mówił? Ba, rozumie się on tyle na tych rzeczach, co niemowlę. Wyczytał to w swoich książkach, nad któremi spać nie mogąc, pół nocy przesiaduje. A jego Cilli, to dobre, biedne stworzenie, dotrzymuje mu towarzystwa. Z takiego rodzaju socyalizmem można już się godzić.

Reinhold udał się następnie do mieszkania Kreisela, ażeby uspokoić go wraz z córką.

— Kochana, biedna Cilli — powiedział, siadając obok niej i biorąc ją za ręce — nie martw się; daję ci słowo, że stryj wcale nie myśli o zerwaniu z twoim ojcem. Wszystko pomiędzy nimi zostanie po dawnemu.

— Po dawnemu — już nie — odpowiedziała Cilli, wstrząsając głową. — Od czwartku ojciec zupełnie się zmienił. Prawie nic nie jadł, zaledwie zdrzemnął, i dzisiaj bardzo wcześnie przyszedł do mego łóżka, mówiąc, nie mam już żadnej wątpliwości, jestem także socyalistą i muszę to powiedzieć panu Schmidt'owi. Rzecz to naturalna, gdyż należy zawsze prawdę mówić a zwłaszcza w tym wypadku, kiedy stryj pański nie znosi socyalistów w swej pracowni. A chociaż — jak pan upewniasz i jak sama byłam o tem przekonaną — stryj pański zrobi wyjątek dla mego ojca jako dla starego i słabego człowieka, to wszakże ojciec mój jest dumny i nie zniesie tej myśli, że jest tylko cierpiany, tembardziej że niezaprzeczenie ma wszelką słuszność za sobą.

— Jakto, kochana Cilli? — zapytał Reinhold zdumiony — ojciec pani miałżeby słuszność?

— Oczywiście, że ma — odrzekła Cilli z zapałem. — Czyliż nie jest to niesprawiedliwością, ażeby ktokolwiek cierpiał, jeżeli inni temu zaradzić mogą? Czyliż Chrystus Pan nie naucza, ażeby głodnych nakarmić, łaknących napoić, nagich przyodziać, strapionych i zasmuconych pocieszyć? A jeżeliby nawet Chrystus tego nie nakazywał, czyż nie nakazuje to każdemu dobremu człowiekowi własne jego serce?

— W takim razie, kochana Cilli, wszyscy dobrzy ludzie byliby socyalistami, i jabym mógł rościć sobie prawo do tego tytułu; lecz pomiędzy miłością bliźniego, o której pani mówisz, a pomiędzy socyalizmem, którego ludzie pragną, zachodzi ogromna różnica.

— Ja żadnej nie widzę — odparła Cilli.

Scenę powyższą przytoczyłem nie tylko z tego powodu, że jest istotnie piękną, ale także po części i dla usprawiedliwienia tego, com powyżej powiedział o poglądach autora.

Powieść ta piękna pojawi się w polskiem streszczeniu w miesięczniku warszawskim: *Ateneum*.

B. L.

Tydzień lwowski.

Lwów dnia 6. października.

Przechadzka po wystawie.

Mijają już piękne dnie Aranjuezu dla Lwowa, wystawa się kończy, i niebawem droga prowadząca na plac Jabłonowski stanie się tak pustą i samotną, jak nią była przed rozpoczęciem przygotowań do wystawy. Tymczasem jednak, podobnie jak lampa podług zaręczenia poetów ożywia się przed samem zgaśnięciem szerokim błyskiem światła, jak dusza przed ucieczką z ciała rozpromienia je w sposób niezwyczajny, tak samo i nasza wystawa przed samem zamknięciem zawrzała zatętniła życiem. Nigdy z pewnością plac Jabłonowskich nie dźwigał na sobie tyle osób, i bodaj czy kiedykolwiek dźwigać będzie, ile w przeszłą niedzielę. Liczby ich obliczano co najmniej na 30 tysięcy.

Z nowych rzeczy, to jest tych, które pod koniec przybyły na wystawę, należy wymienić drób, owce, nierogaciznę i kilka nowych par królików przysłanych przez p. Osmólskiego i ks. Jerzego Czartoryskiego. Króliki te, szczególnie rasy hiszpańskiej z Wiązownicy, o wiele są piękniejsze od królików brodzkiego towarzystwa; odznaczają się przytem wielką tanością. Drobiu nie wiele nadesłano; najwięcej przysłał dr. Karol Rasp z Krakowa; w kurnikach jego znajdują się piękne okazy kur hamburskich, kochinchińskich i holenderskich. Najwięcej jednak zachwycają swem upierzeniem przepyszne bramaputry p. Augustynowicza z Kniażego.

Wystawa owiec jest obfitą; nawet Poznańskie w osobach pp. Goeppera i Chełkowskiego wzięło w niej udział. Rozpoczynają tę wystawę owce włościańskie z okolic Mikuliczyna, posiadające długą piękną wełnę. Towarzyszący im huculi w malowniczym swym stroju, przegrywa nieraz na fujarce, i jest niemniej ciekawie oglądany od samych owiec. Są także owce z okolic Zakopanego. Dalej następują kozły i barany p. Truskolaskiego, żyjące w ciągłej wojnie z sobą, w której przewaga pomimo mniejszości liczebnej jest stanowczo po stronie kozłów; potem owczarnia dublańska, hr. Siemieńskiego, krasiczyńska, chodorowska i t. d.

W świecie nierogacizny zwraca naprzód uwagę na siebie dwunasto cetnarowy „Ucylitarysta“ p. Ludwika Żychlińskiego ze Starego Brusna. Ta wielka masa sadła budzi uszanowanie, nie wywiera jednak tak szczególnego wrażenia, jak widok mniejszego, ale zupełnie białego i prawie okrągłego wieprza hr. Baworowskiego. Tu dopiero z tej okrągłości i białości przemawia cały majestat sadła.

Minąwszy niezbyt wonne przybytki nierogacizny, znajdujemy się przy wystawie powozów. Mam sobie za złe, że dotychczas nie wspomniałem o nich, pomimo iż znaczna część ich od początku wystawy była na placu Jabłonowskich. Jest to obok stolarstwa jeden z działów naszego przemysłu najlepiej się prezentujących, i pod względem smaku i elegancyi nie ustępuje bynajmniej zagranicznemu przemysłowi tego rodzaju, przynajmniej tym wiedeńskim okazom, jakie się znajdują na naszej wystawie. Przepyszne sanie roboty p. Stan. Maksymowicza w Stanisławowie, powozy p. Pawlika w Przemyślu, pp. Leszczyńskiego, Paszka, Michalskiego i Lickendorfa i Sawrackiego we Lwowie, wreszcie wózki wę-

gierskie p. Fran. Kucharskiego w Jarosławiu dokumentnie świadczą o znacznym stopniu rozwoju tego przemysłu u nas.

W wystawie sadowniczej, która mówiąc nawiasem dziwnie jest rozrzuconą, najbardziej imponująco wygląda piramida warzywa fundacyi drohowyskiej. Z owoców zalecają się swoim ogromem i smakowitą powierzchownością gruszki i jabłka p. Karłowicza ze Snopkowa i p. Pańkowskiego, prof. technologii w Dublanach.

* * *

We wtorek w sali ratuszowej p. Alfred Szczepański miał odczyt „o koszykarstwie, jako przemyśle domowym." Czy to dla tego, że p. Szczepański znany jest we Lwowie jako ten, który głównie agitował przeciw wystawie, czy dla tego, że dawano tego wieczora Aidę w teatrze, który, mówiąc nawiasem, wyborne robi interesa na wystawie, czy dla jakich innych powodów, dość, że nadzwyczaj mało publiczności zebrało się na odczyt. Tylko naszemu szanownemu prezesowi wystawy, protektorowi domowego przemysłu, nic nie zdołało przeszkodzić do stawienia się na odczyt o tak interesującym dla niego przedmiocie.

Odczyt p. Szczepańskiego znakomicie wyczerpał swój przedmiot i doprowadził do konkluzyi bardzo ważnych, dla tego też prawdziwie żałować potrzeba, że tak mało publiczności mogło korzystać z niego. P. Szczepański wskazał naprzód, jak należy rozumieć u nas domowy przemysł. Jest to przemysł, który nie powinien stanowić głównego zajęcia naszej wiejskiej ludności, bo takiem zajęciem jest i musi być rolnictwo, ale powinien być zajęciem pobocznem, zużytkowującem czas pozostały od robót w polu i stodole, i w ten sposób oddziaływającem na dobrobyt i na umoralnienie wieśniaka. Otóż i koszykarstwo powinno być takiem pobocznem zajęciem naszej rolniczej ludności.

Następnie podał prelegent pokrótce historyę usiłowań rządu, aby ten przemysł w Galicyi zaszczepić. Rząd przeznaczył na nauczyciela dla Galicyi niejakiego p. Karpa, z Bawaryi, gdzie koszykarstwo kwitnie. Nauczyciel ten miał uczyć galanteryjnego koszykarstwa z kolei w rozmaitych gminach zachodniej Galicyi, które obowiązane były tylko dać mieszkanie na szkołę. Więc naprzód otwarto szkołę w Sciejowicach, majętności p. Machalskiego, gdzie szkoła liczyła dziewięciu uczniów, po roku przeniesiono ją do Liszek, w przeszłym zaś roku do Krakowa. W Krakowie szkoła liczy tylko pięciu uczniów; tak szczupła liczba tem się tłomaczy, że ludność wiejska albo potrzebuje zajęcia, które natychmiastowy daje zarobek, albo posyła dzieci swoje do szkół rzemieślniczych, które przy fachowem dają i jakieś ogólne wykształcenie.

Zachodzi teraz pytanie, jak uczniowie pomienionego wyżej nauczyciela rozwijają dalej koszykarstwo? Odpowiedź na to bardzo smutna. Dopóki byli w szkole, przy nauczycielu, robili koszyki, i to robili bardzo zręcznie, jak tylko zaś pozostawiono ich samych sobie, przestali robić, bo nie mieli czem, z czego i za co. Do koszykarstwa bowiem potrzeba: 1) wzorów, 2) narzędzi, 3) materyału, mianowicie wikliny, trzciny hiszpańskiej lub algerskiej, liści palmowych i in. Materyał ten, żeby był tani, musi być sprowadzany hurtownie z miast portowych; znajduje się wprawdzie i materyał miejscowy, mianowicie wiklina, ale ta nie wystarcza sama dla ozdobnego koszykarstwa. Jakim że więc sposobem wieśniak bez pieniędzy, stosunków i kredytu może się zaopatrzyć w to wszystko, bez czego nie może dalej uprawiać koszykarstwa? Ci, którzyby z działu koszykarskiego na wystawie chcieli wnioskować o rozwoju koszykarstwa w kraju, którzyby mianowicie wnioskowali, że skoro tyle i tak pięknych koszyków wystawiono, musiało się więc już koszykarstwo porządnie rozróść w kraju, ci najzupełniejby się mylili. To co było na wystawie, było tylko dziełem p. Karpa, jego żony i kilku zdolniejszych uczniów; była to produkcya jednej tylko szkoły koszykarskiej, ale bynajmniej nie koszykarstwa krajowego.

Co zatem potrzeba robić, aby nauka w szkole koszykarskiej nie szła na marne, aby koszykarstwo mogło trwale zapuścić korzenie w naszym kraju? P. Szczepański dochodzi do następującego wniosku: potrzeba, aby znaleźli się w kraju przedsiębiorcy, aby wytworzyły się *spółki*, któreby tę sprawę wzięły w ręce, zarówno w imię dobra publicznego, jak i w imię własnego zysku, który może być bardzo obfitym. Zadaniem takich przedsiębiorców, takich spółek, byłoby: 1) zbadać potrzeby miejscowego i zagranicznego handlu i sprowadzić koszykarskie narzędzia, wzory i materyały. 2) Urządzić w kraju wyrób maszyn, któreby, jako na miejscu robione, tańsze były od sprowadzanych z zagranicy. 3) Postarać się o kulturę wikliny w kraju. 4) Uorganizować samą robotę po wsiach, udzielać zaliczek na narzędzia itd.

Jeżeli się w kraju nie znajdą przedsiębiorcy, to niebawem zjawią się Niemcy i wyzyskają pracę naszego ludu na swoję korzyść, nie troszcząc się przytem bynajmniej o to, co nasze spółki przedsiębiorcze winny by mieć ciągle na oku, to jest o umoralnienie i wzrost zamożności ludu. Już nawet zaszło coś podobnego. Rząd, któremu w tej sprawie dobrej woli odmówić nie można, widząc, iż kraj szczepionemu przezeń koszykarstwu bynajmniej nie stara się dopomódz, postanowił sam dawać zaliczki wychodzącym ze szkoły koszykarskiej uczniom i w swoje ręce wziąć eksploatacyę tego przemysłu. Tym sposobem i na tem polu, dzięki lenistwu naszemu i ospałości, tracimy sposobność wywierania wpływu na lud, i na tem polu oddajemy go w obce ręce, które nie mają bynajmniej zadania pouczać go o obowiązkach narodowych, budzić w nim poczucia narodowości.

* * *

W SPRAWIE OSOBISTEJ.

PP. Gubrynowicz i Schmidt napisali i wydrukowali „list otwarty" w którym starają się oczernić wszystkich swoich kolegów w zawodzie księgarskim, wypisując w nim wszystko, co bujna imaginacya autorów wymyślić zdołała. Dokument ten, gdyby nie miał złych tendencyi szkodzenia na sławie i kredycie, byłby tylko wybornym okazem wyuzdanego pyszałkostwa i zarazem niezrównanej ograniczoności.

Pozwalam sobie jeden mały ustęp z niego przytoczyć, ustęp skierowany do mnie, a chociaż pp. G. i Sch. zbyt wspaniałomyślnie się obeszli ze mną w porównaniu do innych, niemniej przeto ustęp ten jest dobrym okazem nieloiki, bezmyślności i nieprawdomowności autorów.

Czytamy tam: „Co do p. A. Bartoszewicza innej niewłaściwości nie ma sobie Gubrynowicz do zarzucenia, jak chyba tę, iż p. Bartoszewicz w sprawie uwolnienia od cła dzieł polskich w Warszawie wychodzących, udziału brać i podania podpisać nie chciał, pomimo tego p. Bartoszewicz dziś sprowadza książki nie wprost, lecz przez Prusy."

Zapewne czytelnik nie wiele z tego zrozumiał, bo dlaczegoż ma być z tego robiony zarzut p. Gubrynowiczowi, że p. Bartoszewicz nie podpisał podania? i dlaczego p. Bartoszewicz, który nie podpisał podania, nie ma sprowadzać książek z Warszawy przez Prusy, jeżeli nie podpisywał, że tamtędy sprowadzać nie będzie?

Rzecz tę należy rozumieć tak, że p. Gubrynowicz napisał podanie do Ministeryum o zniesienie cła od książek polskich, drukowanych w Warszawie i żąda za to wynagrodzenia od księgarzy lwowskich, którzy to podanie podpisali, w kwocie 900 złr., a że p. Bartoszewicz nie podpisał, więc od niego żądać nie może żadnego wynagrodzenia i p. Gubrynowicz oskarża się, iż zawinił nie używszy wszelkich środków do zniewolenia go do podpisania tego aktu.

Gdyby rzecz tak się miała, nie mielibyśmy nic więcej do powiedzenia. Wszakże p. Gubrynowicz rozminął się trochę z prawdą, albowiem p Bartoszewicz nie podpisał rzeczonego aktu, ponieważ o nim nic nie wiedział, bo jeszcze nie był księgarzem kiedy dokument ten był pisany. Wprawdzie nie byłby go podpisał w żadnym razie, gdyż była to prosta blaga, chodziło bowiem p. Gubrynowiczowi o reklamę tylko, ażeby o jego firmie pisano po dziennikach, czego dopiął. Cło pobierane od książek z Warszawy (tylko) jest anomalią w Austryi i jako taka powinna być i będzie zniesioną bez p. Gubrynowicza. Cło to nie jest znowu tak wielkie, ażeby na nie należało zwracać szczególną uwagę, bo wynosi zaledwie 1% lub mało co więcej.

Jużto p. Gubrynowicz względem p. Bartoszewicza, czyli Księgarni Polskiej, nie może sobie mieć nic do wyrzucenia, bo przez ciąg kilkuletniej egzystencyi tej księgarni tyle starał się jej dokuczać, tyle szkodzić, że chyba więcej nie można. Nie wyszedł z druku żaden katalog, żadne ogłoszenie Księgarni Polskiej, żeby p. Gubrynowicz zaraz nie przybiegł z nauką moralną i groźbą. Biegał po kolei do wszystkich księgarzy, buntując ich przeciw Księgarni Polskiej i nasyłając, naprowadzając po kolei p. Wilda, p. Milikowskiego, p. Czajkowskiego, p. Richtera, aby stwierdzili jego groźby. Śmiech brał i litość, patrząc na tę zawiść i chciwość. Ale trudna rada, znalazłszy się przypadkowo w miłem koleżeństwie p. Gubrynowicza, musieliśmy filozoficznie na ten stosunek spoglądać i trwonić czas na słuchanie jego mądrych wskazówek i nauk, i pozwolić mu bujać, ile chciał. A że p. Gubrynowicz po kolei zalewał każdemu za skórę, więc przyszła kryska na Matyska. Kopał p. Gubrynowicz dołki pod każdym, aż wykopał taką jamę, że sam wpadł do niej. Wszyscy księgarze lwowscy odmówili mu kredytu i wypowiedzieli stosunki.

A. D. Bartoszewicz

KRONIKA PARYSKA.

Paryż d. 1. października 1877 r.

Gdyby „Tydzień" był pismem politycznem i gdyby żądał od nas kronik paryskich temu odpowiadających charakterowi, bez żadnych mozołów, z wielką łatwością służylibyśmy mu dziś

niemi co dni kilka, nie narzekając nigdy ani na brak treści, ani na niedostatek materyałów.

Inaczej się rzecz ma co do kronik podających ważniejsze, bardziej zająć was zdolne wypadki z artystycznego, literackiego, lub światowego tutejszego życia. Dziedzina tych ostatnich szwankuje w chwilach jak obecna, gdy umysł publiczności do „nec plus ultra“ dziejowymi, dopełniającymi się lub dopełnić się mającymi, zajęty faktami, drobnym, mniej doniosłym i uboższym w konsekwencye przejawom powszedniego bytu, roztargnionej tylko użycza uwagi.

Śmierć Thiers'a, wojna na Wschodzie i zbliżające się a o formie rządu we Francyi zadecydować mające wybory na deputowanych do Izby: oto trzy rzeczy, o których Paryżanie mówią dziś wyłącznie i wobec których wszystko zresztą mikroskopiczne przybiera rozmiary i zaledwie że godną pobieżnej wzmianki zdaje się być bagatelą.

Jeśli o dwóch ostatnich mówić nam nie wolno i nie na rękę, to pierwszy (śmierć Thiersa) wypadek względnie świeży a pełen znaczenia, i łatwych do przewidzenia skutków, lepiej ze wszech miar do naszej przystaje rubryki i zasługuje, byśmy go choć kilku potrącili słowami.

Rzadko się komu lepiej tu żyć zdarzyło i zarazem (jeśli z republikańskiego zadecydujem o tem stanowiska) mało kto umarł, bardziej nie w porę.

Rzeczywiście, czy jest i czy był kto gdzie i kiedy, kogoby los bardziej pieszczoną przez żywot przeprowadził dłonią? Komu by się tu na ziemi, mniejszym kosztem większe powodzeń i tryumfów zebrać udało żniwo? I kto by do szczytu (czy istotnie zasłużonej, to jeszcze pytanie) doszedłszy popularności, zniknął z pola właśnie wtedy, gdy stronnictwo, któremu służył i które go swoim obrało naczelnikiem, najwięcej jego czynnej potrzebowało pomocy, i najwięcej na nią w zbliżającej się a decydującej liczyło rozprawie?

Słowa powyższe potrzebują zapewne usprawiedliwienia?

Spieszymy z niem:

Adolf Thiers, syn ubogiego adwokata z Marsylii, a jak inni twierdzą pokątnie, syn prostego portowego w mieście tem wyrobnika, sam o własnych siłach rozpoczął i spełnił swą karyerę, a że spełnił ją świetnie, to zda się żadnemu nie ulegnie zaprzeczeniu. Posiadacz olbrzymiej fortuny, członek nie wiem ilu Akademii i towarzystw uczonych, kawaler, ba, komandor, nie wiem ilu orderów, kilkanaście razy minister, prezydent wreszcie Rzeczypospolitej i w trakcie zostania nim po raz drugi, szef partyi republikańskiej, okrzyknięty ojcem i wykupicielem ojczyzny, powszechną narodu całego, ba i Europy, żegnany żałobą, Adolf Thiers, by do takich dojść zaszczytów, by się takimi pokryć laurami, musiał okupić je zapewne olbrzymią dozą zdolności i geniuszu, musiał je wywalczyć niesłychanym plonem korzystnej dla kraju swego i dla ludzkości pracy.

Otóż kto zada sobie trud przestudyowania choćby pobieżnego całej politycznej jego działalności, ten „volens nolens“ niekoniecznie do tak pochlebnych dla pamięci zmarłego dojść będzie musiał rezultatów. Ten go zobaczy w niejednokrotnej kolizyi z postępem, z prawdą, ze słusznością, gdy gardłował przeciwko kolejom żelaznym, przeciwko wolnej wymianie handlowej, przeciwko emancypacyi Włoch, za systematem protekcyjnym, za okupacyą Rzymu, za utrzymaniem w nim doczesnej papieżów władzy.

Ten go zobaczy w początkach karyery, tam, za „Filipowskich“ jeszcze czasów, nie nader ładną względem księżnej de Berri odegrywającym rolę i z zawiści przeciwko współzawodnikowi swemu Guizotowi w mizerną, osobistą bawiącego się opozycyą.

Ten go zobaczy, jako historyka, w arcydziele piśmienniczej jego działalności, w „Dziejach konsulatu i Imperyi“ egzaltującego krwawą epokę Igo cesarstwa, a ztąd wskutek silnego oddziaływania na opinię publiczną, kto wie czy nie jednego z głównych promotorów powrotu do Francyi Bonapartych i cezaryzmu.

Ten go zobaczy w przedostatnich nareszcie czasach w roli już prezydenta Rzeczypospolitej, jak mogąc bodaj że zapobiedz „Komunie“ i straszliwym po niej zniszczeniom, żadnych przeciwko niej w początkach środków ostrożności nie przedsiębierze, i bezdarnością swą i swem zaniedbaniem, umożebnia ją i rozzuchwala. Jak schroniwszy się do Wersalu i zostawiwszy stolicę na łasce komunistów, gdy po dwóch miesiącach z górą udaje mu się ją im odebrać, jak sankcyonuje krwawe, doraźne, przez rozwścieklone żołdactwo po ulicach miasta dokonane mordy i egzekucye.

Zwolennicy „quand même“ umarłego, dwa główne do wdzięczności rodaków przypisują mu tytuły: Pierwszym z nich jest: pomysł ufortyfikowania Paryża, drugim: szybkie rozpłacenie się z Prusakami po ostatniej wojnie i wskutek takowego rychłe oswobodzenie kraju od okupacyi niemieckiej. Tytuły by to były piękne, bez wątpienia, gdyby nieboszczyk zasługiwał na nie w istocie, gdyby przypisywanie ich jemu żadnej nie ulegało dyskusyi.

Czy tak jest w samej rzeczy?

Co się tyczy fortyfikacyi paryskich, to kwestya ta różnorodnym podlega rozwiązaniom. Możnaby twierdzić i nie bez pewnej racyi, iż miasto tak olbrzymie jak Paryż (dwa miliony przeszło ludności) źle się nadaje na obronną fortecę i że nieprzyjaciel (niedawny przykład udowodnił to dostatecznie) obrachowując na trudność (niepodobieństwo) wyżywienia tak nieprzebranej liczebnie załogi, nie zada sobie trudu atakowania na nic nie zdatnych bastyonów i byleby obsaczył je z daleka i byleby przeciąwszy komunikacye przeszkodził wszelkiemu dowozowi wiktuałów, to może być pewnym, iż głodem (jak za ostatniej wojny) dręczona stolica, bramy mu swe wcześniej czy później z wymuszoną otworzy pokorą.

Kto wie zatem, czy obwodząc Paryż murami, nieboszczyk Thiers fatalnej mu nie oddał usługi, kto wie czy nie naraził go na ciągłe, podobne ostatniemu, dręczące, nużące, a sprawie narodowej żadnej korzyści nie przynoszące oblężenia, kto wie, czy centralizując tak obronę krajową w jednym punkcie, wrogom jednozamachowego jej nie ułatwił zwalczenia.

Jeśli teraz przeciwne przypuścimy konkluzye, jeśli zgodzimy się na potrzebę, na konieczność paryskich fortyfikacyj, to i w takim razie nie podobna nam będzie nie skonstatować, iż przedsiębiorąc je nawet, inaczej przedsięwziąć je należało.

Jak? Zapyta ktoś może. Tak jak to dzisiaj, po ciężkiej nauce, wojenne tutejsze zadecydowało ministeryum: oddalając fortyfikacye od Paryża na znaczną odległość, na kilkanaście przynajmniej kilometrów, zostawiając pomiędzy niemi a obwodem miasta szeroką przestrzeń, spory szmat gruntu pod rolną zdatny uprawę, ułatwiając tym trybem mieszkańcom możność dłuższego bronienia się od głodowej śmierci, utrudniając przeciwnie wrogowi zadanie obsaczenia miasta w koło, na co by mu nie dwukroćstotysięcznej jak za ostatniej wojny, a milionowej przynajmniej potrzeba było armii. Nie zrozumiał tego zmarły pseudo-strategik i zdusiwszy kolosalny ludnością gród w ciasnych stosunkowo a na nic nie zdatnych (bo ich nikt nie atakował) murach, na absolutnie konieczną rychłego poddania się na raził go katastrofę.

Drugi mniemany tytuł Thiers'a do wdzięczności rodaków: mianowicie prędkie rozpłacenie się z Prusakami, mimowolnie przywodzi nam na myśl bajkę o musze, która brzęcząc koło zagrzęzłego w błocie wozu, przekonaną była, twierdziła, iż się czynnie przyłożyła do wywindowania jego z toni.

Traktatem pokojowym we Frankfurcie 1871 roku Francya zobowiązała się do wypłacenia Niemcom pięciu miliardów wojennej indemnizacyi, zwołane Zgromadzenie narodowe zadecydowało zaciągnąć na ten cel pożyczkę. Pożyczkę tę, zaledwie że otwarto, natychmiast we trójnasób czy w czwórnasób tak francuscy jak i zagraniczni pokryli kapitaliści. Zebrane w ten sposób pieniądze wręczone zostały Prusakom, którzy odebrawszy co się im należało, armię swą bez zwłoki z zajmywanych przez nią wycofali prowincyi. Bardzo pięknie. Ale gdzież w tem jest tak nadzwyczajna Thiersa zasługa? Dalipan, iż szukamy jej nadaremnie. Iż Francya bogata, przemysłowa, handlowna, pomimo klęsk swych szeroki kredyt w całym znalazła świecie, to podziękować ma za to oszczędności i pracowitości wszystkich swych synów w ogóle, a nie żadnej wyłącznej jednego z nich zasłudze. Gdyby rzecz się miała inaczej, gdyby ta Francya zrujnowana, daremnie, jak to czynią inne mocarstwa, swe puste otwierała kasy, gdyby nikt w nie miedzianą nawet cisnąć nie chciał monetą, cóżby wtedy na taki stan rzeczy o wiele nawet mędrsza od Thiers'a finansowa poradziła inteligencya? Nic zgoła. To pewna. W całej tej sprawie Thiers dopełnił bardzo zwykłej i bardzo łatwej finansowej operacyi, z której w razie potrzeby z równym sukcesem pierwszy lepszy wywiązałby się bankierzyna i nie masz w niej nic takiego, coby tak bardzo na pochwalne pamięci jego zasługiwało pienia. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Brodziński K.* Mowa o narodowości Polaków i posłanie do braci wygnańców (52 tomik Bibl. Mrówki) 16ka, str. 74. Lwów, nakład Księgarni Polskiej, 1878 20 zlr.

— *Jaroszewski* Zygmunt. Gospodarstwo wzorowe, uprawa roślin groszkowych, koniczynnych i traw (wydanie illustrowane) 8ka większa str. 445. Warszawa, 1877. 5 zlr.

— *Katalog krajowej* wystawy rolniczej i przemysłowej we Lwowie, 1877. 40 ct.

— *Morawski Adam.* Po za krajem, 8ka str. 292, Kraków 1877. 2 zlr.

— *Niemcewicz J. U.* Pamiętniki, Dziennik pobytu za granicą. Tom II. 1833—1834, 8ka str. 521 Poznań, 1877 6 zlr.

— *Popiel Antoni.* Wychów królików 8ka str. 45. Kraków, 1877. 90 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Wobec bliskiego jubileuszu Kraszewskiego powstają coraz liczniejsze projekta dla uczczenia znakomitych zasług mistrza pisarskiej sztuki.

W wielu miejscach kobiety wspólnemi siłami podjęły się różnych robót ręcznych, przeznaczając je jako skromny dar dla jubilata.

Na szczególną wszakże uwagę zasługuje myśl powstała pomiędzy mieszkańcami guberni siedleckiej, w której Kraszewski w majętności rodzinnej Romanowie ujrzał światło dzienne i gdzie pierwsze swe wykształcenie w szkole obwodowej bialskiej pobierał.

Według otrzymanych ztamtąd wiadomości, w sferach wielbicieli szanownego jubilata podniesiono projekt wzniesienia mu w miasteczku Białej pomnika z marmuru.

Gdy cała Polska myśli o uczczeniu Jubilata i Lwów nie chce pozostać za innymi. Jest projekt wybicia medalu pamiątkowego. Komitet już się zawiązał.

— Przyjazd Matejki do Warszawy nie obył się, jak to łatwo było można przewidzieć, bez objawów wyjątkowej dla mistrza sympatyi ze strony Warszawian. Parotysięczny tłum złożony przeważnie z grona inteligencyi miejscowej oczekiwał w dniu 24 bm. pociągu wieczornego, który przywieść miał drogiego gościa. Za zbliżeniem się pociągu wszyscy podążyli w stronę, gdzie wysiadającego Matejkę otoczyło grono artystów i literatów, by złożyć mu serdeczne wyrazy powitania. Z trudnością zdołano przeprowadzić Matejkę w pośród publiczności cisnącej się po obu stronach, by ujrzeć szanowne oblicze znane sobie z wizerunków jedynie. Towarzyszyli Matejce w tej pielgrzymce przez tłumy Siemiradzki i Jenike otoczeni gronem przedstawicieli sztuki i literatury. Za zbliżeniem się do apartamentów dworca, zgromadzona publiczność wydała okrzyk serdecznego powitania na cześć Matejki i aż do wstąpienia na stopnie pojazdu okrzyk ten towarzyszył mu brzmiąc bez przerwy przez minut kilkanaście. Matejko był nadzwyczaj wzruszony Udał się on wraz z żoną i córką do hotelu Europejskiego. Jak wiadomo zabawi on z tydzień w Warszawie, której nie zna i którą rad poznać. W odwiedzinach tych niechaj towarzyszy mu życzliwość serdeczna Warszawian, a my składamy „Szczęść Boże" na tę pielgrzymkę po naszej głównej stolicy. Szczęść mu Boże i niechaj kiedyś wspomnienia tych odwiedzin dadzą mu natchnienie do nowego arcydzieła.

— Piosnek i gawęd humorystycznych M. Rodocia zeszyt IV opuścił już prasę.

— Biblioteki Mrówki wyszedł już z druku tomik 52 zawierający Kazimierza Brodzińskiego: *Mowa o narodowości Polaków* i *Posłanie do braci wygnańców*.

— Wyszedł z druku Nr. 2. czasopisma *Dźwignia* organ ukończonych techników.

— *Halkę* przedstawiają obecnie w Moskwie i jak się dowiadujemy znalazła tam bardzo sympatyczne przyjęcie.

— *Mikołaj Wierzynek* historyczny obraz Jana Matejki wystawiony jest w Warszawie na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

— P. Wiktor Tissot autor „Voyages au pays des miliards" i innych, zamierza wkrótce wydać na widok publiczny dwie nowe swe prace: „Vienne et la vie viennoise" i „L'Allemagne amoureuse."

— Pani Juniewiczowa, znana i u nas śpiewaczka, śpiewa obecnie na scenie opery moskiewskiej.

— Z Kowna donoszą, że hr. W. Tyszkiewicz obywatel guberni kowieńskiej, ofiarował czterysta rubli na opłatę wpisu za 10 ubogich uczniów gimnazyum w Kownie.

— Józef Chociszewski, wydawca licznych książeczek dla dzieci, zamierza wydawać w Poznaniu czasopismo literackie p. n. *Lech*. Będzie to pismo, ilustrowane i daj Boże by obudziło większe zajęcie się literaturą w Wielkopolsce.

— Nakładem księgarni Karola Wilda we Lwowie wyszła *Pamiątka wystawy lwowskiej*, zbiór tańców na wystawie grywanych na fortepian ułożonych.

— *Pamiętnik wystawy krajowej*, czasopismo ilustrowane wydawane nakładem Księgarni Polskiej wyszło już całkowicie z druku i zebrane w książkę sprzedaje się po 3 złr.

Wypadki.

— O strasznem zjawisku otrzymały dzienniki angielskie wiadomość z Australii. Grupa wysp Barker Islands, położona przy zachodniem wybrzeżu Australii, miała zniknąć zupełnie z powierzchni morza z mieszkańcami i wszystkiem, co się na niej znajdowało.

— Buenos Ayres nawiedzione zostało powodzią przypominającą potop. Dolina Matanzas obejmująca przeszło 80 mil. kwadr. powierzchni, słynna z swych pastwisk, stoi pod wodą. Po drogach bitych pływają swobodnie wielkie statki żaglowe Podług doniesień korespondencyi Timesa zatonęło przeszło 3 miliony sztuk bydła i owiec, miejscowe zaś obliczenia podają straty na 10 milionów sztuk, przeważnie owiec. Wpłynęło to na znaczne podwyższenie ceny wełny na rynkach angielskich.

— Na kanale angielskim w nocy dnia 11 września miał miejsce straszny wypadek spotkania się dwóch okrętów: możemy podać bliższe szczegóły. Noc była ciemna i silny wiatr. Wielki okręt „Forest" wagi 1488 ton, uderzył po trzykroć w kadłub okrętu „Avalanch". Ten ostatni natychmiast napełnił się wodą i poszedł na dno z 31 ludźmi załogi i 63 pasażerami — trzech tylko ludzi z załogi zdołano uratować. Wkrótce przekonano się. że i „Forest" poniósł znaczne uszkodzenia i że woda doń przecieka. Komendant Lockhart rozkazał natychmiast spuścić trzy szalupy, na które wsiadła cała załoga „Foresta" i ludzie wyratowani z „Avalancha." Ale wicher był tak silny, że do brzegu zdołała się dostać tylko jedna szalupa z 12 ludźmi, z których dziewięciu, w tej liczbie sternik, należało do załogi „Foresta", a reszta do „Avalancha". Drugą szalupę morze wyrzuciło na brzeg, na którym znaleziono sześć trupów, o trzeciej szalupie nie ma żadnych wiadomości. Tym sposobem zginęło ogółem 108 osób, oraz towary znajdujące się na „Avalanchu" wartości 300,000 funtów szterlingów.

Statystyka.

— Statystyka ruchu ludności w gubernii Płockiej. Do 1 stycznia 1877 r. gub. Płocka liczyła mieszkańców obojej płci 502,840, w ciągu roku przybyło z przewyżki urodzonych nad zmarłymi 8,378, zatem w dniu 1 stycznia 1877 r. ludność doszła do 511,218. W r. 1866 podług Ekonomisty, ludność wynosiła 426,574 mieszkańców, zatem w ciągu ostatnich lat dziesięciu pomnożyła się o 84,644 mieszkańców.

Z ogólnej liczby mieszkańców przypada: na powiat Lipnowski mężczyzn 36,615, kobiet 39,857, razem 76,472; na Płoński m. 32,182, k. 34,171, razem 66,353; na Płocki (bez miasta Płocka) m. 31,487, k. 33,322, razem 64,809; na Mławski m. 30,486, k. 32,101, razem 62,587; na Rypiński m. 27,979, k. 29,333, razem 67,312; na Sierpcki m. 27,677, k. 29,348, razem, 56,925; na Ciechanowski mężczyzn 27,987, kobiet 28,278, razem 56,266; na Przasnyski m. 25,098, k. 27,510, razem 52,608: na miasto g. Płock m. 9,083, kobiet 11,803, razem 20,886. Ogółem: mężczyzn 245,494, kobiet 265,724. Czyli że: na 100 mężczyzn w całej gubernii w roku wspomnionym było 108,$_{24}$ kobiet. Wysoki stosunek kobiet do mężczyzn przedstawia się szczególnie w Płocku: bo kiedy w Warszawie w 1872 r. (Załęski str. 342) na 10 mężczyzn było 116,$_{66}$ kobiet, co jest bardzo wiele w porównaniu z innemi miastami Europy, to w Płocku w roku 1876 było na 100 mężczyzn 120,$_{95}$ kobiet.

Podług wyznań, ogół ludności dzieli się jak następuje: katolików 411,371, protestantów 34,342, prawosławnych 2,891, żydów 61,853, anabaptystów 761. Zatem katolicy w porównaniu z całą ludnością stanowią 80,$_{47}$%, żydzi 12,$_{09}$%, protestanci 6,$_{72}$%, prawosławni 0,$_{55}$%, wreszcie anabaptyści (nowochrzczeńcy) 0,$_{14}$%.

W roku 1875 urodziło się: dzieci płci męzkiej 10,411, płci żeńskiej 10,162, razem 20,573. W tej liczbie nieprawych płci męz. 521, żeń. 532, razem 1,053.

Według cyfr powyższych na 100 mieszkańców urodziło się 4,$_{03}$; zaś na każde 100 urodzin przypada 5,$_{12}$ nieprawych.

— W Anglii wydano w tych dniach ciekawy wykaz statystyczny, odpowiadający na pytanie, wielu ludzi z miliona dochodzi do starości. Otóż okazało się, że z miliona dzieci w pierwszych pięciu latach życia umiera $^1/_4$ tj. 260.000, z których 80.000 pada ofiarą chorób mózgowych i płucnych, 22.000 ginie od chorób żołądkowych i dyzenteryi, 17 tysięcy umiera na szkarlatynę — 14.000 na krup i 11 na inne choroby. Od 10 do 15 roku życia śmiertelność ta znacznie się zmniejszyła, ale za to od 15 do 25 suchoty robią znaczne zniszczenie, mianowicie między dziewczętami. Obłąkanie i samobójstwo w tej epoce odgrywają swą smutną rolę. Około roku czterdziestego piątego pierwotny milion zmniejsza się do połowy, a w ciągu następnych dwudziestu pięciu lat liczba żyjących sięga zaledwie 309.000. Do roku 75 życia z tego miliona dochodzi zaledwie 147.905 osób.

Podróże.

— Nowa wyprawa do bieguna północnego. Niedawno donosiliśmy, że w Ameryce zamierzają urządzić nową wyprawę do bieguna północnego, której przednią strażą niejako, ma być okręt „Florens." Okręt ten udał się już dnia 16go sierpnia do Grenlandyi celem zakupienia sanek i psów, oraz wynajęcia Eskimosów, którzy mają towarzyszyć wyprawie. Dowódzca przyszłej wyprawy kapitan Chognet bierze ze sobą znanego aeronautę Fonwella, który przyobiecał swoje usługi wyprawie, w celu zbadania, czy przy pomocy balonu nie będzie można robić odpowiednich poszukiwań.

Wynalazki i odkrycia.

— Drzewo deszczowe. Konsul Stanów Zjednoczonych w Loretto (Peru) podaje następujące szczegóły o drzewie nazywanem przez krajowców Tamaicaspi (drzewo deszczowe.) Wyrasta ono do 60 stóp wysokości a pień jego dochodzi wtedy od 3 do 4 stóp średnicy. Drzewo to pochłania i zgęszcza z nadzwyczajną szybkością i energią wilgoć z powietrza i woda ciągle spływa z jego pnia i gałęzi, jakby kroplami deszczu, i to tak obficie, że otaczająca je ziemia zmienia się prawie w bagno. Drzewo deszczowe posiada tę własność w wysokim stopniu w porze letniej, kiedy rzeki opadają i woda staje się rzadkością, dlatego też konsul amerykański radzi swemu rządowi, aby kazał sadzić to drzewo w suchych okolicach, zapewniając wielkie ztąd korzyści dla rolnictwa, tam gdzie z powodu zbyt gwałtownego działania słońca, wszelka uprawa roślin staje się niepodobną.

— Telefon w Anglii. Z dziedziny dość zresztą ciekawej zabawki przechodzi obecnie telefon w dziedzinę praktycznego zastosowania. W Anglii poczęto robić w tym celu odpowiednie doświadczenia. Wiadomo, że do dziś dnia nie podobna było porozumiewać się w kopalniach wszelkiego rodzaju z robotnikami znajdującymi się wewnątrz kopalni. Wszelka komunikacya powierzchni ziemi z wnętrzem kopalni odbywała się przy pomocy sygnałów. Otóż obecnie w kopalniach węgla kamiennego w Saint-Witschal, robiono doświadczenia porozumiewania się z robotnikami za pośrednictwem telefonu. Próby te wydały jak najlepsze rezultaty — słowa wymówione w kopalni w przeciągu stosunkowo dość krótkiego czasu były jak najwyraźniej słyszane na powierzchni ziemi. Tym więc sposobem odtąd będzie można mieć z ludźmi, znajdującymi się wewnątrz kopalni, ciągłą i pewną komunikacyą.

— W New-Yorku wprowadzono już w ruch pięć *telefonów*. Jeden z nich łączy linię ruchu statków parowych z miejscem ich wyjścia. Nie ulega wątpliwości, że głos osoby, oddalonej od miejsca obranego na pięć lub dziesięć mil odległości, tak dokładnie jest słyszanym jak w odległości dwóch kroków. Głos wszakże tem dokładniej się odbija, im jest wyższy w tonie i jeżeli dźwięki jego są przeciągłe.

Wystawa pracy kobiet w Warszawie.

— Sto deklaracyi blisko, jakie do tej pory złożono, na wystawę pracy kobiet w Muzeum, które stanowczo 20 października zostanie otwarte, zapowiadają, że ten pierwszy specyalny popis odsłoni nam niejedną w ciszy rozwijającą się zdolność i talent. Samych kobierców i gobelinów ręcznych zadeklarowano już tyle, że jedna z większych sal Muzeum pokryte niemi mieć będzie swe ściany.

Teraz w ostatnich czasach coraz liczniej też przybywają deklaracye gospodyń wiejskich.

Wyroby przemysłu domowego włościan również zaczynają się zapowiadać, szkoda tylko, że dotąd w zbyt małym stosunku do wysokiego znaczenia ekonomicznego tej gałęzi przemysłu. Ten ostatni dział wystawy znakomicie przyozdobią okazy, jakie dyrektor Muzeum pojechał zakupić dla tego zakładu, na naszej teraźniejszej wystawie.

Nekrologia.

† Dnia 14 września br. zmarł w Szumli z ran odniesionych w bitwie pod Eski-Dżumą dowódzca legionu polskiego, walczącego obecnie na ziemi tureckiej, waleczny major Józef Jagmin. Urodzony na Litwie, pierwszą kampanię odbył w r. 1831, w której za okazaną waleczność otrzymał krzyż zasługi wojskowej. Drugą kampanię przeciw Moskwie odbył w legionie polskim na Węgrach w r. 1849. Następnie w r. 1853 walczył w armii tureckiej w czasie wojny krymskiej. W r. 1863 należał do oddziału Zygmunta Miłkowskiego utworzonego w Turcyi, którego losy znane są publiczności. I nareszcie mając lat siedmdziesiąt po raz piąty wystąpił do boju przeciw Moskwie na czele legionu polskiego w Turcyi.

Cześć pamięci człowieka, który całe życie strawił na usługach ojczyźnie, dla której niejednokrotnie krew przelał i życie dał w ofierze.

Licznie zgromadzona publiczność w dniu 1. października na żałobnem nabożeństwie we Lwowie oddała mu dobrze zasłużony hołd.

ROZMAITOŚCI.

ODWAŻNY SERB i PIĘKNA SZEWCÓWNA.

Korespondent wiedeński „Gaz. Polskiej“ przytacza następujące zdarzenie. Nasza heroina, to córka ubogiego szewca z Leopoldstadtu. Na imie jej Filomena. Filomena była w szesnastej wiośnie życia, urocza jak rozkwitający pączek róży, znana piękność swego przedmieścia. Dziewczę poświęcało się zawodowi nauczycielskiemu, i codziennie uczęszczało z Leopoldstadtu przez ogród miejski na Landstrasse, gdzie się znajduje konwikt nauczycielski.

W pewnych godzinach, wolnych od nauki, przechadzała się nasza heroina sentymentalnie po aleach tego ogrodu, wzdychała śród brzóz i wierzb płaczących, patrzyła smętnie na łabędzie, pływające po stawku ogrodowym, lub też poiła się wonią róż i jaśminów. Dziewczę szukało smętnemi oczyma po świecie ideału, szukało pięknemi oczyma po ogrodzie idealnej postaci kochanka wymarzonego w snach dziewiczych.

Wtem, pewnego poranku, zjawił się jej ten ideał. Byłto mężczyzna marsowej postawy, żołnierz o złotym kołnierzu. Dziewczę, spostrzegłszy go, spuściło jak Gretchen oczy ku ziemi i szło dalej.

Ideał przemówił. Gretchen mimowoli stanęła. Spojrzała na kołnierz. Kołnierz złoty. Więc oficer sztabowy! Cóż znowu, Gretchen zna przecie stopnie oficerów sztabowych i lubo naiwna jak dziecię, niedoświadczona, jak dyplomacya austryacka, umie bardzo dobrze odróżnić majora od pułkownika.

Tymczasem w obecnym wypadku było jej to niepodobnem.

Nie dziw też, ponieważ ideał był — zagranicznym oficerem.

Był to major serbski. Dwa spojrzenia wystarczyły, ażeby dwa serca zrozumiały się i zapłonęły ogniem miłości.

Pan major krótko i węzłowato postanowił działać. Oświadczył się po formie pannie Filomenie, a następnie przedstawił się jej ojcu prosząc o rękę córki. Biedny majster oszołomiony był niespodziewanem szczęściem, jednak, pomimo okazałej powierzchowności pana majora, przecież przypuszczał, że ten może być tylko awanturnikiem, i że we właściwem miejscu należy zasięgnąć o nim szczegółowych wiadomości. Radził się więc p. majster „doktora“, który mieszkał u sąsiadki, a ten poradził jemu, że najlepszej może zasięgnąć o majorze wiadomości w ambasadzie rossyjskiej.

Pan majster ubiera się świątecznie i spieszy do pałacu ambasady.

Tu staje mu odźwierny w drogę i pyta:

— Do kogo i w jakim interesie?..

— Do jaśnie wielmożnego ambasadora w interesie mej córki, pięknej Filomeny.

— Aha, dobrze... Jego Excelencya jest właśnie sam w salonie na pierwszem piętrze, drzwi na lewo.

Pan majster spieszy na pierwsze piętro. Tu staje mu uliberowany lokaj w drogę.

— Dokąd?

— Do jego Exellencyi.

— Nazwisko?

— Wenzel Powidlak, majster szewski z Leopoldstadtu.

— Aha, Jego Excellencya zmienia szewca, mruknął lokaj pod nosem i zameldował przybyłego.

Z uśmiechem przyjął ambasador niezwyczajnego gościa. Nie będziemy przytaczać słów, których pan majster użył dla zasiągnięcia języka o serbskim majorze, i poprzestaniemy na ogłoszeniu rezultatu wizyty. Byłto rzeczywiście major, członek bardzo poważnej i bogatej rodziny.

Jednak i major sam był bardzo majętny. Majster nie posiadał się z radości. W dwa dni potem zrobił p. major swej narzeczonej prezent w wartości 500 guldenów.

Nazajutrz w Extrablacie, Tagblacie i w ogóle we wszystkich dziennikach ukazało się obszerne sprawozdanie o romansie pięknej szewcówny z majorem serbskim. Referat ten dziennikarski pozbawił snu tysiące panien, które miały powód uważać się za piękne, a tem samem miały prawo spodziewać się takiego szczęścia, które tylko tej „przeklętej szewcównie“ dostało się w udziale. Bez przesady przez całe dwa tygodnie cała płeć piękna Wiednia zazdrościła, jak Otello, szczęścia ubogiej dziewczynie.

Tymczasem... ach! co za roskoszny odwet dla tych, które nie mogły się poszczycić majorem — zjawia się w jednym z miejscowych dzienników komunikat, że pan major znikł, a panna Filomena została w — smutku.

W liście zaadresowanym do „gołąbki ubóstwianej“, tłómaczy p. major powód swego wyjazdu bez pożegnania temi słowy: „Czyliż nie wolno mi śnić, marzyć cudownie, kochać anioła i z nim choć chwilkę przebywać w raju? Miałożby mi to roskoszne życie być wzbronionem, miałżeby mnie od rajskiej bramy z płomienistym mieczem pędzić szatan, pomimo mego gorąco-tętniącego serca, pomimo namiętnej mej miłości, dla tego, że..., że jestem — żonaty? Lubo wróg Turków, potępiam wraz z nimi zasadę, wedle której przykazano mężowi wiecznie więdnąć przy jednej, przy jednej i tej samej niewieście. Szedłem za popędem serca — przebacz mi, aniele!...“

Czy anioł przebaczył, o tem prasa wiedeńska milczy.

POCZTA W ANGLII.

Mało która z gałęzi służby publicznej uległa w ciągu lat kilkunastu tak gruntownemu przekształceniu, jak służba pocztowa, nb. za granicą. Organizm pocztowy ograniczający się przed piętnastu jeszcze laty przesyłką listów i średniej wielkości posyłek, przerodził się stopniowo w skombinowaną machinę, różnorodne spełniającą czynności. W Anglii np. przyjmuje oszczędności, ubezpieczenia na życie, pieniądze na wkład procentowy, wypłaca odsetki od długów i zobowiązań państwowych, słowem wyświadcza tysiączne usługi wymagające pospiechu, upraszczając formalności i koszta dla niższych mianowicie warstw społecznych w zwykłym rzeczy porządku, przy odbiorze i podnoszeniu drobnych kwot pieniężnych nader uciążliwe. Zawiadowca stacyi pocztowej, w odległych i głuchych miejscowościach zna całą ludność, tak miejscową jak i okoliczną, wiadome mu są stosunki mieszkańców, nie potrzebuje więc poświadczeń, usprawiedliwiań i legitymacyj, warunkujących zwykle w drodze prawnej i administracyjnej, porządek i bezpieczeństwo wypłat. Dla takich miejscowości zawiadowca poczty i listonosze są prawdziwą opatrznością. W Anglii poświadczenie zawiadowcy pocztowego, pozostawione jego dyskrecyonalnemu uznaniu, równoważnem jest z poświadczeniem władz i organów sądowych i administracyjnych. W kraju, gdzie zasada „czas to pieniądz“ ma stosowność realną, wszystkie środki byle prawe i sumienne, skierowane ku oszczędzeniu czasu i usunięciu mitręgi, zyskują uznanie i wprowadzenie w życie. Bank angielski, kasy państwowe, sądy nie formalizują się, czy poświadczenie tożsamości pochodzi od urzędnika w zielony czy niebieski oździanego mundur, czy pieczątka nosi wyobrażenie trąbki, czy też lwa brytańskiego. Szło o poświadczenie, a skoro poświadczający liczy się do składu wielkiej machiny administracyjnej, skoro zasługuje na zaufanie władzy specyalnej, która go na ten urząd powołała, dla czegóż nie ma mieć zaufania i u innych organów administracyi. To proste, logiczne rozumowanie nikogo tam nie razi, przeciwnie, uważane jest za konieczny i naturalny wynik zasady, w moc której administracya państwowa przeznaczoną jest na usługi obywateli, nie zaś obywatele na ofiarę administracyi.

Nic więc dziwnego, że czynność zarządu pocztowego wzmaga się tam z każdym rokiem. Sprawozdanie poczmistrza jeneralnego za rok 1876 podaje przesyłkę listów na 1.018,955.200, kart pocztowych na 92 miliony. Na jednego mieszkańca, przypada w Anglii 35, Szkocyi 26, w Irlandyi 13 listów. Przesyłka gazet wynosiła 125 milionów numerów. Drugie tyle stanowiły książki, pisma peryodyczne i illustrowane. Listów błędnie, źle i nieczytelnie adresowanych obliczono 5,100.000, wszelako po usilnych staraniach $^{9}/_{10}$ tej ilości dostało się do rąk właściwych.

Na 33.000 listów nie wskazano żadnego adresu, suma zawartej w nich gotowizny i przekazów wynosiła 4.500 funtów sterlingów. Jeden list nie zapieczętowany, wrzucony do skrzynki pocztowej zawierał 3 banknoty, każdy na 1.000 funtów. Ogólna wartość przekazów pocztowych do wysokości $1^{1}/_{2}$ f. st. stanowiła 27,516.698 f. st. W kasach oszczędności przyjęto 1,702.000 wniosków na sumę 27 milionów funtów sterlingów.

Ilość stacyi pocztowych podaną jest na 13.474, z których na sam Londyn przypada 1.803. Skrzynek pocztowych 24.171. Skład osobowy służby pocztowej wynosił 35.000 osób. Ogólny dochód stanowił 6 milionów f. st., na którym osiągnięto 2 miliony f. st. czystego zysku.

Zarząd telegrafów, liczący 3 734 stacyj oddzielnych i 1.636 stacyj kolejowych, przyjął 26,450.000 depesz, obsłużony zaś był przez 10.000 urzędników i oficyalistów.

Od Redakcyi.

Na sto kilkadziesiąt listów w kwestyi premii nie możemy odpowiadać poszczególnie, upraszamy więc o odczytanie prospektu, gdzie wszystko jest wyszczególnionem. Prospekt znajdzie czytelnik na pierwszej i drugiej stronie okładki.

PP. autorów, którzy życzą aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu“ znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

SPROSTOWANIE.

W numerze 5 na stronicy 68 zakradły się następujące błędy:

1 szpalta wiersz 17 z góry zamiast nauk czytaj mów. 1 szpalta wiersz 23 z góry zamiast naszym czytaj licznym. 2 szpalta wiersz 17 z dołu zamiast jak czytaj jako. 3 szpalta wiersz 12 z góry po wyrazie typy dodać uporu.

Str. 69 1 szpalta wiersz 20 z dołu zamiast nastawając, czyt. nastawającym.

Treść Nr. 6.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.